№ 44. Warszawa, dnia 3 Listopada (22 Października) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Znowu chmura.

Styl przemówień urzędowych z wysokiego stanowiska nie może posiadać nawet zwykłej temperatury wywodów dziennikarskich, nie może sypać iskier, jeżeli nie chce spowodować natychmiastowego wybuchu. Najumiarkowańszy artykuł *Gazety Warszawskiej*, odczytany w parlamencie przez ministra spraw zagranicznych, niezawodnie wywołałby nazajutrz wojnę. Dyplomaci muszą mieć zawsze język z lodu, nawet wtedy, gdy nim wypowiadają najgorętsze oświadczenia. Wiemy o tem wszyscy bardzo dobrze i bardzo dawno. Do jakiego wszakże oziębienia doprowadzić nieraz należy słowa oświadczeń, szeroko roztelegrafowywanych i szczegółowo rozbieranych, przekonał się dowodnie przed kilku dniami austryacki kierownik polityki zagranicznej, hr. Kalnoky. Karmiąc ogólnikami ciekawość wydziału delegacyi węgierskiej, rzekł on: „O stosunku obu monarchów (Austryi i Rosyi) nie potrzebuję mówić, gdyż był on zawsze najserdeczniejszym. Mogę również zapewnić, że stosunek obu rządów jest normalnym, chociaż rzeczywiście pozostaje w sprzeczności z zachowaniem się prasy rosyjskiej, która wytwarza rozmaite przyczyny do niepokojów. Mam przekonanie, że rozdrażnienie przeciw nam ogranicza się do bardzo ciasnego koła. Błędnym jest pogląd, że Rosya myśli o wojnie zaczepnej, błędnym nietylko z powodu jej wewnętrznego stanu, ale także skutkiem tego, że, jak *wiadomo*, wobec takiej zaczepki nie stalibyśmy sami. Nie prawda, ażeby Rosya była bardzo czynną na polu przygotowań wojskowych, podjętym zaś przez nią fortyfikacyom nie można nic zarzucić." Powtórzywszy zapewnienie, że sfery rządzące wojny sobie nie życzą, minister wyraził nadzieję, że ich duchem przejmie się również naród rosyjski.

Tak treściwie ujęta brzmiała mowa hr. Kalnokego. Zdawałoby się, że ona obfitego materyału do alarmów nie zawiera, że chociaż z niej tę i ową „publiczną tajemnicę" wydobyć można, zdejmować z kołka broni nie potrzeba. Tymczasem stało się inaczej. Gazety rozwiesiły nad widnokręgiem wschodu Europy znowu groźną i piorunami brzemienną „chmurę." tak, że przestraszony minister w komisyi budżetowej musiał co prędzej wypowiedzieć drugą mowę i odprzysiądz się od podsuniętych mu zamiarów.

I do którychże punktów przywiązano rakiety wojenne? Do przyczyny niemożliwości napadu i do silnie zaznaczonego przymierza. Spleciony z tych dwu nici wywód doprowadził do następującego wniosku: ponieważ hr. Kalnoky widzi rękojmię pokoju nie w przyjaźni Rosyi, lecz w jej niemocy; ponieważ na wypadek starcia odsłania za sobą strasznego sojusznika, więc w słodkich słówkach tkwi niezawodnie gorzkie ziarno. To znaczy: stosunki między dwoma współzawodniczkami są naprężone, zerwanie pajęczyną związanej przyjaźni — bliskiem a zapowiedzią podniesienia się kurtyny i rozpoczęcia dramatu — przenikliwy dzwonek reżysera austryackiego. Jakkolwiek wywodowi temu niepodobna odmówić pewnej zręczności, wyznajemy wszakże, że nas własna nasza logika tak daleko zaprowadzić nie chce. Jeżeli wojna nad Austryą i Rosyą wisi, to w każdym razie nie na włosku a hr. Kalnoky nie przyłożył do niej nożyczek. Już tych wymędrkowanych i niedaleko wskazywanych wojen mieliśmy dosyć w roku bieżącym i wszystkie zawiodły, chociaż nie nas, bośmy w nie niewierzyli. Tego rodzaju przepowiednie mają istotnie pewną oporę w rzeczywistości i prędzej czy później — może nawet w roku przyszłym — sprawdzą się; ale dotąd były przeważnie albo manewrem obrotów giełdowych, albo też dogadzaniem gustowi czytelników gazet, którzy lubią narkotyki lub spodziewają się od wielkich burz poprawy swego losu. Dzisiejsza Europa znajduje się w tym stanie, że gdy niema wojny, trzeba ją dla niej stworzyć, skłamać, aby tylko nie przerywały się miłe dreszczyki, ożywiające schorzały i znudzony lub zrozpaczony organizm starego świata.

Jeden tylko szczegół w mowie hr. Kalnokego zasługuje na uwagę: stwierdzenie przymierza austro-niemieckiego na wypadek wojny z Rosyą. Wprawdzie było ono oddawna tak dalece niewątpliwem, że nawet minister uznał je za „wiadome," ale ostatecznie zapowiedź tego małżeństwa z urzędowej ambony ani w berlińskiej, ani w wiedeńskiej parafii nigdy nie spadła. Teraz dopiero mamy wzmiankę o zawartym ślubie zapewne przez wzajemną przysięgę na miłość, wiarę, uczciwość — i naturalnie... posłuszeństwo małżeńskie ze strony Austryi ks. Bismarkowi.

Wobec tego związku z odpowiedzią na pytanie: kto będzie zaczepiającym, a kto zaczepionym—wahać się trudno. Austrya w połączeniu z Niemcami, nawet bez przystawek włoskich, hiszpańskich, serbskich itd. — stanowi mur tak potężny, że w sąsiadce nie zbudzi chęci do rozbicia go głową. Jeżeli więc z jajka, wysiadywanego przez tyle kwok dziennikarskich, wylęgnie się kiedyś wojna, to chyba w gnieździe germańskiem. Spotęgowana czynność wojskowa Niemiec i Austryi na granicy wschodniej wcale nie przeczy temu przypuszczeniu. Zresztą Niemcy ze swoim do boju gotowym militaryzmem wyglądają jak zakuty w zbroję żołnierz, który, zamiast drutów, bagnetami robi pończochę. Gdy bieda lepiej przyciśnie, a niebezpie-

czeństwo wzrośnie, zrobi on z nich niewątpliwie właściwy użytek, ażeby nakoniec swobodnie odpocząć.

NIEZBYTECZNY KOMENTARZ.

Gdyby cały nasz antisemityzm zawierał się w tej jednej dziennikarskiej konewce, której mętną wodą od pewnego czasu prasa warszawska podlewa sobie swój humor, moglibyśmy go nawet nie regestrować w rachunkach naszego życia. Ale objawił on się u nas niedawno bardzo poważnymi wybuchami nienawiści, tętni mniej lub więcej ukryty w organach opinii publicznej, przenika nasze stosunki społeczne a jednocześnie wre na szerokiej przestrzeni całego niemal świata. W tych granicach zasługuje on na baczną uwagę i szczegółowy rozbiór. Uznając właśnie ważność owego ruchu, usiłował go rozjaśnić w poprzednim numerze *Prawdy* T. T. Jeż, który jednak, mniemamy, i dla naszych uwag pozostawił miejsce.

Każde zjawisko społeczne nie jest skutkiem jakiejś jednej przyczyny, lecz wypadkową wielu. I antisemityzm wypłynął z rozmaitych źródeł, głównie zaś z trzech: religijnego, rasowego i ekonomicznego. Jakkolwiek zęby fanatyzmu, którymi ludzie w średnich wiekach wzajemnie się rozdzierali, dziś już w znacznej części wypadły lub stępiały, dotąd wszakże biorą one udział w walce. Zwłaszcza żywioły ciemniejsze zapuszczają sobie te kły z dziką wściekłością. Rzadko kiedy odbędzie się jakaś publiczna uroczystość religijna bez dostarczenia powodu do kłótni lub bijatyk, a lud chrześcijański ciągle uważa się za uprawnionego mściciela męki Jezusa. Gdyby wszakże na ostrzu tego tylko noża przecinały się związki dwu plemion, mogłaby go usunąć i niewątpliwie usunęłaby — oświata.

Rozwój cywilizacyjny zniszczyłby nawet drugą przeszkodę — etnologiczną. Nie ulega wątpliwości, że fizyczny typ lub ideał semity różni się bardzo od typu lub ideału aryjczyka. Antropologicznie są to twory daleko od siebie odstawione. Wiadomo, że pomimo zniesienia niewolnictwa okrucieństwo europejczyków względem murzynów zachowało dużo swej dawnej siły we wstrętach szczepowych. Biały nie może znosić czarnego lub miedzianego, jego skręconych lub szczecinowatych włosów, spłaszczonego lub wywiniętego nosa, skośnych lub maleńkich oczu. Podobne niechęci objawiają się względem izraelitów. Każdy humorysta wie, co robi, gdy rysuje karykatury z prognatyzmem, garbatymi nosami i odstającemi uszami. Nawet w wyższych sferach, jeżeli zajrzymy pod obłudę towarzyską, niezawodnie dostrzeżemy utajoną odrazę aryjczyków do semitów, z którymi utrzymują przyjacielską na pozór zażyłość. Podobne różnice występują z porównania charakterów. Żydzi, jako żywioł przeważnie handlowy, wykształcili w sobie głównie moralność kupiecką, która zwłaszcza z etyką ludów rolnych pozostaje w ostrej sprzeczności. Dlatego najłatwiej godzą się z nimi anglicy, francuzi i włosi, a najtrudniej niemcy, węgrzy i słowianie. Kto izraelitom przypisuje wyłącznie nadużycia w handlu, ten dowodzi tylko, że swych badań socyologicznych nie rozpostarł po za Nalewki i Franciszkańską. Spencer wykazał faktami, że elastyczność sumienia kupców angielskich przewyższa wszystko, co spekulacya w tym kierunku zrodzić może. Dla osiągnięcia zysków nie gardzą oni żadnym podstępem, nie krępują się żadnymi skrupułami. Naiwni tylko wierzą w istnienie błogosławionych krajów, w których szynkarz nie rozpaja chłopa a kramarz nie oszukuje go. Ponieważ zaś u nas żydzi prawie wyłącznie trudnią się handlem a właściwości tego zawodu dziedzicznie przekazują na swe potomstwo, nic więc dziwnego, że ich etyka jest inną. Jeżeli zaś tę, która panuje w marzeniach poetów i w teoryach filozofów, uważamy za wyższą, to zmierzywszy nią izraelitów, otrzymamy śród nich za mały procent charakterów średnich, posiadających umiarkowaną ilość wad i zalet. Istotnie żydzi składają przeważnie zbiorowisko ludzi niezwykłych — w znaczeniu dodatniem lub ujemnem. Są albo zdumiewająco uczciwi, prawi, wspaniałomyślni, albo też nadmiernie podstępni, chciwi i samolubni. Piszący te słowa, chociaż doświadczeń swych nie zbierał w szerokiem kole stosunków, zapamiętał tyle pięknych stron, tyle wymownych dowodów szlachetności żydowskiej, że wspomnienia o niej wystarczają mu zupełnie do odparcia bezwzględnych i zajadłych klątew antisemityzmu. Niejeden potomek Sema bardziej wart czci, niż niejeden potomek Jafeta — pobłażania. Ale nawet przyjąwszy w dwu szczepach jakościową nierówność typów oraz ilościową charakterów moralnie średnich, przypuścić możemy, że przez zmieszanie ich zapomocą odpowiednich połączeń (np. małżeńskich) zaginęłyby najmniej pożądane cechy fizyczne i moralne. Podobny proces odbył się też w wielu narodach ucywilizowanych.

Bardziej wikła się sprawa w najważniejszym punkcie trzecim — ekonomicznym. Jeżeli nawet tu i owdzie chrześcianie zapomnieli o swej zemście religijnej a nosy i uszy izraelitek podobają im się nieraz bardzo, to skargi na wyzysk nie milkną nigdy. Czem są owe skargi? Protestem pracy przeciwko kapitałowi — czyli — świadomym lub bezwiednym socyalizmem. Wielokrotnie już podkreślaliśmy ten fakt, że obecne, wzburzone fale antisemityzmu płyną łożyskiem socyalistycznem. Reżyserowie lub bohaterowie rozbojów ulicznych nie uświadamiają sobie, albo wreszcie dla zabezpieczenia swej roboty nie przyznają się do tego pokrewieństwa, mimo to jest ono niezaprzeczonem. Zoolog nie zważa na to, że pies dusi lisa i obu zalicza do jednej rodziny. Te same żale, które czytamy w broszurach antisemickich, czytamy również w socyalistycznych. Tu i tam praca występuje przeciwko nadużyciom kapitału, tu i tam wyzyskujący i wyzyskiwani. Ale między dwoma sztandarami zachodzi ta ważna różnica, że konsekwentniejsi i radykalniejsi socyaliści pozywają przed sąd świata cały kapitał, antisemici zaś tylko żydowski; pierwsi pragną go w obecnej formie zniszczyć, drudzy przelać do kieszeni chrześciańskich. Tem nie mniej ostatni są lichymi uczniami pierwszych. Od swych mistrzów przejęli oni krytykę kapitalizmu, przykroiwszy ją do jednej rasy i jednego wyznania a przytem odciąwszy od niej logiczne konsekwencye. Ponieważ nieprzyjemnie jest tułać się na wygnaniu lub siedzieć w kozie, a laury męczeńskie niekażdego nęcą, więc antisemityzm nie walczy z „burżuazyą,“ która dotąd jest zwycięską, lecz z „żydowstwem,“ które zapomocą zbuntowanych tłumów poturbować można. Nie rzuca on się na

WYROBNIK.

(Z bruku wileńskiego).

Na każdej spowiedzi ksiądz strofował Walentego, że się upija, przedstawiał mu, że duszę gubi a po śmierci smołę pić będzie. Walenty objaśniał, że pije za swoje pieniądze tylko w niedzielę lub święto, lecz dnia poprzedniego chyba towarzysz na czarkę zawoła, a to zdarza się tak rzadko, że i wspominać nie warto. Kiedy go ksiądz upewniał, że upijać się w święto jest jeszcze większym grzechem, Walenty pomyślał:

— Bajki! Jakżeby człek święto poznał? I tak nieraz jednej albo dwóch niedziel nie doliczam się w miesiącu!

Porzucił więc konfesyonał Bernardynów; a gdy i w innych kościołach spowiednicy okazali się również wymagającymi, nie chodził do spowiedzi wcale. Pomimo to pijakiem nie był; przez sześć dni pracował wytrwale, w niedzielę spał do południa, potem zaś sam nie wiedział, co z sobą zrobić. Rodziny własnej nie miał, mieszkał u stróża w kącie. Zwykle pogadają o tem i owem, z początku w chacie, potem przed bramą, w końcu pójdą na kwaterkę piwa; jednej niedzieli stróż płacił, następnej Walenty. Niedziele ostatniego zdarzały się częściej; udawał jednak, że tego nie pamięta. Stróż miał żonę i troje dzieci, on zaś ani żywego ducha. Czasami chodzili razem do Zakretu albo na Rossę: wówczas o piwie wzmianki nie było. Walenty kładł się na trawie, wydostawał fajkę z zanadrza, a wybierał zwykle takie miejsca, skąd można było widzieć Wiliję i las na przeciwległym brzegu; do miasta odwracał się plecami, miał go już dosyć cały tydzień. Z początku spoglądał obojętnie; woń lasu, woda, trawa, szmer jakiś łechcący—odurzały go powoli; mrużył oczy i słuchał oparty o pień drzewa. Patrzał, jak tam w oddali dwa brzegi porosłe lasem i krzakami zbliżają się ku sobie a rzeka płynie coraz węższem korytem, jak nad nimi pas błękitnego nieba zsuwa się gdzieś daleko. Widział to już ze sto razy może, ale jeszcze się nie napatrzył, nie nasycił świeżością, co mu szeroką falą wpływała do piersi.

— Jak tu dobrze, jak dobrze — mruczał tak sobie, byle coś powiedzieć, gdyż w piersiach aż kłuło od nieokreślonego jakiegoś uczucia. Poruszał plecami, zamykał oczy; wówczas woda szumiała głośniej, szmer powietrza łechtał go jeszcze rozkoszniej.

Zdarzało się, że elegancka dziatwa z sąsiednich willi przybiegała w tę stronę za piłką lub za obręczą, rzuconą niezręcznie. Na widok człowieka w wytartej sukmanie, bez czapki, w zapylonych butach, z ospałą, ponurą twarzą, dzieci cofały się trwożliwie lub przytulone do drzewa przyglądały mu się ciekawie, gotowe do odwrotu przy najlżejszem jego poruszeniu.

— To pewno złodziej, a może rozbójnik? szeptały cichutko.

— Może pijany? Uciekajmy!

Zmykały, oglądając się, czy za niemi nie goni.

Walenty siedział jak odurzony; nie pogoniłby tam nawet za własnem szczęściem!

Czasami tam w lesie, po drugiej stronie, odzywał się śpiew zgodny, umiejętny, podzielony na chóry; to niemcy robotnicy z garbarni dawali zwykły swój koncert. Walenty nie rozumiał, gdzie w śpiewie dobra wola się kończy, a umiejętność zaczyna; lubił najprzód harmonię powtarzaną długiem echem, którą rzeka niosła gdzieś daleko; podobała mu się zgodność kilkudziesięciu głosów naraz. Kiedy przestawali, to jak nożem uciął; zaczynali też wszyscy razem, jakby wszyscy jedno gardło mieli. Słuchał, tłumił oddech, a gdy drzewa i krzaki dwoić się poczynały, przecierał pięścią wilgotne oczy.

Noc wypędzała przyjaciół napowrót do miasta. Spać jeszcze się nie chce, spojrzeli na siebie i jednozgodnie, bez zamiany słów, skierowali się do źródła pociechy i osłody. Wybierali zwykle szynkownię, przy której był ogródek, to jest kawałek piasku ogrodzonego, z kilkoma krzakami pokrzywy. Zasiadali na ławce między chlewkiem z żydowską kozą, a izbą z tradycyjną wo-

obecny ustrój społeczeństwa, ale na żydowskie szkatuły. Dlatego miesza ciągle interesy ekonomiczne z wyznaniowymi, dlatego przyparty do muru pytaniem: czego chce? — wykręca się ogólnikami, które świadczą tylko bądź o braku w nim odwagi, bądź o braku wiedzy i szlachetniejszych uczuć. Wygląda on jak gromada szakalów, ciągnących za armią socyalistyczną i pożerających trupy jej nieprzyjaciół. To nie poważna walka cywilizacyjna, którą uśmierzą tylko wielkie przewroty lub przemiany, ale burda, którą stłumi każdy energiczniejszy policyant. Lepsze pierwiastki człowiecze nie wezmą nigdy udziału w druzgotaniu złotego cielca z Zakonem Starym, dla postawienia na jego miejscu złotego cielca z Nowym. One mogą pragnąć tylko, ażeby żaden cielec złoty nie był bogiem ludzkości. Gdyby nawet dziwaczny los spełnił marzenia antisemitów, t. j. gdyby obrabowawszy żydów, rozdzielił łupy między chrześcian, praca na tem przesunięciu kapitałów nic a nic by nie zyskała. Samolubstwo, chciwość, wyzysk — nadużycia ekonomiczne narodziły się nietylko w Judei, ale wszędzie; nie jest od nich wolną żadna rasa, nie wytępiło ich żadne wyznanie.

Wyciągnijmy wnioski: w stosunkach żydowsko-chrześciańskich waśnie religijne może usunąć oświata; w stosunkach aryjsko-semickich wstręty i różnice etnologiczne może zniszczyć krzyżowanie się ras; co zaś do antisemityzmu ekonomicznego, to, chociaż on wyodrębnia się jako ruch samodzielny, należy jednak do ogólnego starcia pracy z kapitałem i tylko rezultaty tej walki dadzą pozytywne rozwiązanie jego zagadnieniom. Jakie rozwiązanie? Odpowiedź wyczerpująca przeprowadziła nas na pole, leżące po za granicami tego komentarza; wyrazimy więc zaledwie ogólnikowy domysł, że widzialna dla teraźniejszości przyszłość życia swego w normy socyalizmu nie wprawi, ale skorzysta z jego krytyki i szeregiem powolnych reform ubezpieczy pracę przeciwko kapitałowi. Co my też w tym kierunku uważamy za postęp, to zaznaczamy przy wypadkach szczegółowych.

A. S.

FANTAZYE EKONOMICZNE.

W głowach filarów, podtrzymujących „upadającą własność większą,“ zrodził się nowy projekt przywrócenia jej dawnego blasku. Pomysłów takich czytaliśmy już sporo od lat kilku; jedni pokładali całą ufność w Towarzystwie Kredytowem i od niego wyglądali zbawienia, drudzy szukali rozwiązania kwestyi w zakładaniu spółek rolniczych, innym uśmiechały się banki, przy których ogniu możnaby dwie pieczenie upiec—i naród ocalić i własną kieszeń napełnić itd. Znaleźli się nawet tacy, co jedyne zbawienie widzieli w przywołaniu „nieobecnych,“ wzywanych w niebogłosy, aby ratowali tonącą nawę szlacheckiej gospodarki. Ci ostatni przynajmniej otrzymali jakie takie rezultaty: kilku zbankrutowanych „nieobecnych“ zasiadło na krzesłach radcowskich, kilku innych sprzedało zaszargane nazwiska na szyldy dla podejrzanych spekulacyj. Ale nawet pomimo tych ofiar większa własność toczyła cię wciąż po pochyłości, na końcu której czekała je nienawistna parcelacya, jako ostatni, jedyny środek ratunku. Trzeba było pomyśleć na seryo o zagrożonych stanowiskach, a że nowych pomysłów na razie zabrakło, powrócono więc do przeżuwania starych.

P. Ludwik Górski wystąpił w *Niwie*, która pozyskała przywilej ocalania rozbitków, z artykułem, szeroko dowodzącym znaczenia w społeczeństwie większej własności i przedstawił środki, mające zapobiedz rzekomej klęsce narodowej. Środkami tymi są znowu... banki hypoteczne. Rozbiór szczegółowy tej pracy nie jest przedmiotem naszego artykułu, zaznaczymy tylko, że podstawy, na których opiera autor swe rozumowania, są fałszywe. Ocenia on wartość większej własności na 400 milionów rs. i twierdzi, że na niej spoczywa pożyczka Towarzystwa w stosunku 26% i długi prywatne w stosunku 40%. Tymczasem rzecz się przedstawia wcale inaczej, a p. Górskiemu, mającemu niewzbroniony dostęp do źródła, najlepiej powinno być o tem wiadomo. Pożyczka bowiem Towarzystwa wynosi tylko 82 miliony a długi hypoteczne 122, czyli razem nie 66, lecz 51%. Słowem, położenie materyalne większej własności nie jest tak smutnem, jak o tem głoszą jej zbawiciele. Ale od czegóż logika szlachecka!

P. Kłobukowski, rozwijając w dalszym ciągu i uzupełniając projekt p. Górskiego, tak dowodzi (w tejże *Niwie*): „Jakkolwiek przyjęta przez szan. autora (Górskiego) wartość własności ziemskiej nie zdaje się nam być przesadzoną, to jednak ponieważ jest ona tylko przypuszczeniem, cyfry zaś 82 i 122 mil. są faktem, a obciążenie własności ziemskiej w stosunku 66% jej rzeczywistej wartości jest *pojęciem w umysłach uzasadnionem i, dajmy na to* (co za arystokratyczna niedbałość) *zgodnem z prawdą*,“ więc—trzeba obniżyć wartość o 100 mil., bo inaczej wywody p. Kłobukowskiego nie miałyby gruntu pod sobą. W tym samym rodzaju są inne obliczenia (np. określenie dochodu z ziemi 5% jej ceny). Francuzi i niemcy, rozporządzający całym przyborem cyfr statystycznych, co prawda, nie zdołali tego jeszcze dokonać i wątpią nawet, czy kiedykolwiek dokonają. Dochód z ziemi zmienia się niemal corocznie i nadzwyczaj trudny jest do oznaczenia. Ale u nas inaczej: jednem pociągnięciem pióra pp. Górski i Kłobukowski sprawę rozsądzają. Szemat takich wyliczeń zawsze jest jednakowy. Przeciętny szlachcic rozumuje mniej więcej w ten sposób: sprzedałem zboże na pniu za pół ceny — dostałem za nie tyle a tyle — na wełnie orżnął mię żyd, panie dobrodzieju, więc dostałem znów tylo a tyle itd. W budżecie zaś wydatków: utrzymanie 6 koni cugowych, stangreta i forysia; za moją pracę 3000 rs. (rządzi ekonom) itp. Wszystkie te cyfry dodają się, odejmują i w rezultacie wypada 3 lub 4% dochodu. Takich jednak danych ekonomiści poważni, niestety, uwzględnić nie chcą.

Jeżeli więc odrzucimy dowolne i niczem nieuzasadnione przypuszczenia, położenie większej własności nie wyda nam się znowu tak groźnem, żeby aż wymagało jakichś nadzwyczajnych środków ratunku. Zresztą, lekarstwo, proponowane przez p. Kłobukowskiego, skutecznem wcale nie jest. Deskę ocalenia widzi on w przeniesieniu do naszego kraju działalności banków hypotecznych niemieckich i delikatnie naklania Towarzystwo Kredytowe ziemskie do nieprawego związku z temi córkami giełdowej spekulacyi.

---

nią cebuli, śledzi i wódki; nad nimi szarzał kawałeczek nieba, z którego spadało trochę wieczornej rosy; świeżej więc tu było, niż w dusznej, przepełnionej po brzegi szynkowni.

Walenty częstował; po dwóch butelkach stawał się bardzo rozmownym, na dnie każdej wychylonej szklanki znajdował anegdotkę lub stare wspomnienie. Niegdyś, kiedy był jeszcze wyrostkiem i miał matkę, jeździli razem „w swoje strony“ pod Lidę: tam u stryjeczno-wujecznego brata mieli kilka pni pszczół. Matka już dawno umarła, pszczoły już także posiwiały, a może i poumierały nawet, Walenty jednak przypominał je sobie czasami; była to bowiem jedyna rzecz, do której miałby prawo, gdyby istniała. Każdym razem, gdy mu serce rozmięknie w piwie, albo zapłonie od wódki, ule i wszyscy stryjeczni stają przed nim jak żywi.

— Rzucę wszystko, pójdę, dalibóg pójdę w swoje strony! Cóż to ja.. przybłęda jakiś? Boże odpuść! I ja mam swoich... i ule mam, trzy, nie pięć ulów, tak pięć. Eh, pszczółki te moje!

Oblizywał wąsy i uśmiechał się słodko.

— No wypijem jeszcze kumie, hę? Za moje pszczoły, zgoda? Pili też do późnej nocy.

Wytrzeźwiwszy się, nie wspominał ani o „swoich,“ ani o pszczołach; nie było czasu na próżne myśli. Od wiosny aż do jesieni roboty miał dosyć; domy, bruki, oświetlenie, wodociągi—wszystko to w części było jego dziełem. To też o wszelkich robotach publicznych odzywał się z pewną poufałością:

— „My“ teraz prowadzim gaz lub wodę, „my“ robim to i owo.

Czuł się przytem w obowiązku czuwać nad dobrem publicznem, do którego choć zlekka rąk przyłożył. Ile razy spostrzegł dzieci tłoczące się do pompy, rozpędzał je bez ceremonii:

— Ja wam tu, szubrawcy! Dla was to zrobili, jak raz! Przyszli już majstrować! Powoli, po jednemu, nie tratujcie się jak konie!

Malcy śmieli się z przestrogi, czasem chlusnęli wodą za nim; pomimo to, Walenty nie przestawał ostrzegać; każdą bowiem pompę i latarnię uważał w części za swoją własność.

Najstraszniejszem widmem była dlań zima długa, chłodna, istna kara boża. Z początku, dokąd ludziska nie zaopatrzą się w drzewo, zarobek jest, choć mały; czem dalej, tem cięzej. Bywają dni, w których ani szeląga na oczy nie widzi. Umyślnie wstaje przed słońcem, żeby pierwszy stanąć przed ratuszem; jeszcze tylko mgła poranna snuje się po ulicach, gdzieniegdzie stróże zmiatają bruki; sklepy zamknięte, w oknach ani żywego ducha. Walenty ciągnie już z piłą na ramieniu, z wiązką powrozów na plecach. Siermięgę zapiął szczelnie, do butów włożył resztki flanelowego kaftana, czapkę nasunął na oczy; wlecze się wzdłuż domów, zagląda na podwórza, czy czasem nie zrzucają kłód do piłowania. Myślał, że dziś przynajmniej nikt go nie wyprzedzi— gdzie tam! Już na rogu Niemieckiej spostrzegł dwu, dalej jeszcze jednego, wszyscy pod bronią—z piłami i powrozami na plecach!

— Oh, żeby ich... nie stało — mruknął i spojrzał ponurym wzrokiem na współzawodników.

— Ten rudy, ledwie nogami włóczy, już od trzech dni stoi i nikt go nie woła... Na co komu ten cherlak? Siły za grosz nie ma! Dziś przywlókł się jeszcze... chyba tu zdychać myśli! A ten drugi, stary, istny wisielec, skostniał już zawczasu. Stoi jak nieżywy, oczami nawet poruszyć nie może! Tylko w drogę włazi, cenę psuje! Człek nieraz za psie pieniądze idzie, byleby nie dać się wyprzedzić tym niedołęgom!

Podobne myśli przychodziły do głowy każdemu z osobna; mierzyli się wzajemnie ponurem wejrzeniem. Wkrótce cały szereg stanął wzdłuż ratusza; oparci plecami o ścianę, z nogami wyciągniętemi na chodnik — czekali.

Miasto przebudzało się zwolna, tu i owdzie dym wyjrzał z komina; otwierano sklepy.

— No, co dziś Bóg da! rozmyślał Walenty i mimowoli spojrzał na tych, którzy już od dni kilku zmilowania bożego czekali.

Jeżeli zdarzało się, że pierwszy z brzegu dostał naprzód robotę, Walenty nie mógł

Lepiej od niego w tym przedmiocie powiadomiony *Dziennik poznański* dobitnie wykazuje niemożliwość podobnego małżeństwa, a nawet, w razie urzeczywistnienia go, spłodzonemu w ten sposób dziecku nie wróży życia w naszych warunkach ekonomicznych.

Niska stopa procentowa jest pozorną tylko, bo istnieją różne dodatkowe opłaty, które podnoszą jej skalę. Zastrzeżenia, nakładane na dłużników, są nader uciążliwe: nie wolno np. bez zgody banku sprzedać, ani nawet wydzierżawić majątku, najmniejsze wreszcie uchybienie w opłacie rat pociąga za sobą wypowiedzenie pożyczki. Wszystko to jeszcze kwiatki, jagódką zaś w danym wypadku jest ułatwienie niemieckim kapitalistom nabywania polskiej ziemi. Na nieszczęście, o tem w samolubnym zapale ratowania szlacheckich interesów nie pomyślał wcale p. Kłobukowski. Strumień zimnej wody, wylany przez *Dziennik poznański* na głowy naszych bayardów szlachetczyzny, powinien ostudzić rozpaloną oczekiwaniem przyszłych zysków ich wyobraźnię i skłonić do trzeźwiejszego poglądu na rzeczy.

Bo nie ulega wątpliwości, że z *szlacheckiego punktu widzenia* banki hypoteczne mają pewną racyę bytu. Chociaż stan majątków ziemskich nie przedstawia się nam w tak posępnych barwach, jak pp. Górskiemu i Kłobukowskiemu, nie przeczymy jednak wcale, że ciążące dziś na nich hypoteczne długi mogłyby być spłacone przez odpowiednią instytucyę, która zadowoliłaby się znacznie mniejszymi procentami. Projekt, przedstawiony rządowi przez władze Towarzystwa, jeżeli wejdzie w wykonanie, da około 35 milionów dodatkowej pożyczki; pozostanie więc jeszcze do spłaty około 85—90 milionów prywatnych należności. Nowy bank znaleźć więc może obszerne pole dla swej działalności. Z powyższych uwag nie wynika bynajmniej, żebyśmy go wyglądali z upragnieniem; owszem sądzimy, iż obeszlibyśmy się bez niego wybornie. I teoretycznie i w zastosowaniu do naszych stosunków społecznych nie przypisujemy większej własności żadnego wyjątkowego posłannictwa, a słusznem wydaje nam się, żeby ziemia należała do tych, którzy ją uprawiają. Stworzenie nowej instytucyi kredytowej będzie półśrodkiem, odwlekającym i utrudniającym naturalny przebieg drobienia się gruntów. Powtarzamy więc, że projekt banków nas nie czaruje, ale pojmujemy dobrze, iż zagrożeni chcą się ratować i gwałtem dotrzymać ziemię, która im się z pod nóg usuwa. Co więcej, po uwłaszczeniu włościan rolnictwo w naszym kraju przybrało wszystkie cechy kapitalizmu i w tym kierunku rozwijać się musi. Prędzej więc, czy później, wytworzy ono sobie potrzebne instytucye kredytowe, ułatwiające mu to zadanie. Przeciw wodzie płynąć niepodobna; ale wybierając z dwojga złego, ze względów społecznych oświadczamy się za taką formą gospodarstwa kapitalistycznego, w której (jak np. we Francyi) przemaga własność średnia i drobna. Jeżeli zaś większa musi się utrzymać, to wolimy znowu, żeby ziemia znajdowała się w polskich, niż niemieckich rękach. Z tych więc głównie pobudek występujemy przeciw projektowi p. Kłobukowskiego i pomijając nawet jego niepraktyczność, główny nacisk kładziemy na jego nieroztropność.

Ciekawy to przyczynek do „narodowego posłannictwa!“ W samolubnej pogoni za groszem, potrzebnym na zbytki, obrońcy większej własności bezwiednie może (bo o świadomą przewrotność oskarżać ich nie chcemy) posunęli się do pośredniczenia obcym w nabywaniu swojej ojcowizny.

Fakt ten najlepiej przekonać powinien wszystkich maniaków, marzących jeszcze o „polskiej szkole gospodarstwa społecznego,“ że nie jesteśmy jakimś narodem wybranym, kroczącym właściwemi sobie tylko drogami, ale że podlegamy tym samym co inni prawom rozwoju i że kapitalizm z całą ohydą swych dążeń, z bezwzględnym cynizmem swych środków znalazł u nas grunt odpowiedni i puścił już mocne korzenie.

Zwracamy na tę okoliczność szczególną uwagę autora artykułu w *Dzienniku poznańskim*, który trzeźwe i sumienne swe spostrzeżenia poprzedził cudacznym, mistycznym wstępem. Myśli przezeń głoszone nie są wyjątkiem, pokutują one jeszcze w wielu głowach. Autor uważa ziemię za jakiś specyalny czynnik produkcyi, wyłączony z pod ogólnych praw ekonomicznych, czynnik wrogi kapitalizmowi i zdanie swe wypowiada otwarcie, nie wahając się „zadrzeć z całym nowoczesnym postępem.“ Z tego powodu oświadcza się przeciw jej obdłużaniu i występuje z nowym systematem ekonomicznym, który ani kapitalizmem, ani kolektywizmem nie jest, lecz czemś trzeciem, jakimś socyalizmem szlacheckim, kombinacyą pozbawioną sensu i niezrozumiałą zgoła. Zapewne, z historyi znamy coś podobnego: jest to gospodarstwo patryarchalne; ale o powrocie do niego nie marzą chyba nawet poznańscy dziennikarze — „Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“ — nawet w poprawnej edycyi ekonomistów *Dziennika*.

P.

ELEWATORY.

Petersburg, 22 *października*.

Bardzo ważną wiadomość podały niedawno gazety tutejsze o projekcie nowej instytucyi kredytowej. Minister finansów przedstawił na posiedzeniu Rady państwa ustawę rosyjsko-amerykańskiego towarzystwa akcyjnego, mającego na celu urządzenie elewatorów. Właściwie elewatorem nazywa się pewien mechanizm, służący do przeładowywania zboża wprost ze składów na okręty i jako taki przedstawiający pewne techniczne udogodnienie przy wywozie. Nadto oszczędza on bardzo wiele rozchodów dodatkowych, bo, gdy w Ameryce przeciętny koszt od wysłania czetwerti wynosi 18—36 kop., w Rosyi—1.24—1,62. Z pojęciem jednak o elewatorach łączone zwykle bywa pojęcie o instytucyi kredytowej, dającej zaliczki na złożone w magazynach zboże. Naturalnie instytucya taka urządzoną być może niekoniecznie tylko przy elewatorach—np, w Warszawie Bank handlowy daje podobno zaliczki na ziarno w składach kolei Terespolskiej. Takie składy mogą być urządzone i przy wielu innych drogach żelaznych. Szematycznie więc ta operacya finansowa przedstawia się tak: właściciel zboża oddaje towar swój do składu i otrzymuje nań zaliczkę, która, również jak i opłata za przechowanie, amortyzują się przy sprzedaży. Korzyść tego ro-

---

sobie darować, że nie stanął na jego miejscu. Do miejsca bowiem przywiązywał wielkie znaczenie, a gdzie go raz spotkał dobry zarobek, tam usiłował stawać zawsze, przekonany, że miejsce to musiało być szczęśliwem. Długi, strasznie długi dzień miał przed sobą! Żebyż to jeszcze dzień ludzki — ale to albo śniegiem smaga, jak biczem, albo deszcz pruszy, niby najęty, to znów mróz ściska za serce, aż łzy w oczach krzepną, nogi drętwieją, w palce kole, jak szpilkami. Wąsy zbielały pod nosem, kołnierz i czapka szronem się pokryły; tupie, macha rękami, przechodzi się wzdłuż chodnika.

— A zgiń ty, przepadnij—mruczy, a para bucha mu z ust, niby z ciepłej chaty.

Zniecierpliwiony wbiega do szynku; znajomemu zakredytują kieliszek; tylko za procent musi przynieść kilka wiader wody, narąbać drewek, powylewać pomyje; zrobi, co każą, i znów wraca na stanowisko. Wkoło niego snują się ludzie, przejeżdżają wozy, ruch, życie, każdy spieszy, nawet psy biegną, nie oglądając się, jakby miały ważne sprawy do załatwienia. A Walenty wciąż jeszcze stoi bezczynny: podpierał ścianę prawem ramieniem, teraz podparł lewem; ziewa, zdrzemnąłby może, żeby stanowisko było choć trochę dogodniejszem. Ogląda się, nadsłuchuje... Prostuje się na lada skinienie; często podbiegnie kilka kroków, a za nim drugi i trzeci; okazuje się, że nie wołano ich wcale, więc wracają na miejsce ze spuszczonymi nosami.

Nareszcie i jemu zdarzyła się robota! Przed znajomym sklepem stanęły furgony: zawołano, żeby pomógł znosić i ustawiać towary; potrwa to godzinę, może więcej, dostanie jakie trzydzieści kopiejek; dziś więc nie z próżnemi rękami wróci do chaty. Wogóle podczas zimy finanse stoją kiepsko: o zbytkach mowy nie ma, tytoń i piwo należą do wspomnień, z jadłem nawet nie bardzo akuratnie się widuje. Stróżowa karmi go w części na kredyt, ale czem dalej, tem niechętniej strawy udziela. Wszyscy usiądą do jadła, a o nim ani wzmianki; nie śmie sięgnąć do misy, więc kręci się koło drzwi, niby szuka czegoś, tymczasem zaś wyczekuje, czy nie zawołają. Wychodzi wreszcie i przez cały czas jedzenia stoi przed chatą, albo idzie po chleb — na kredyt. W bliższych kramikach zadłużył się już dostatecznie, w dalszych go nie znają, próbuje szczęścia tu i owdzie. Czasami stróżowę serce zaboli — zostawi trochę w misie. Rad byłby unieść się dumą, nie przyjąć, ale głód dumę zwycięża — zjada biedak co do źdźbła, tylko w gardle dławi go coś dotkliwie, jakby wraz z jadłem łzy przełykał. Wkrótce zaczną lód zwozić do piwnic, oczyszczać ulice, interesy się poprawią — on jeden śmiało może budować zamki na lodzie! Do wiosny przeżyje jakkolwiek; jak słonko przygrzeje, robota wraz z trawką wyjrzy z pod śniegu. Naliczył już ze dwadzieścia placów, na których przygotowano materyały do budowli. Szkoda tylko, że starość coraz częściej daje znać o sobie, ręce drżą, grzbiet boli, z każdym rokiem coraz ciężej. Niechętnie go już najmują, bo robotnik z niego słaby, niedołężny. Tego lata o mało kilka razy nie spadł z rusztowania trzypiętrowej kamienicy; odprawiono go wreszcie, mówiąc, że powinien sobie lżejszej pracy poszukać! Ale gdzie jej szukać! Próbował, eh, czego też człek nie próbuje w życiu! Próbował wyciągnąć rękę po jałmużnę...

— Taki zdrów dziad, a żebrze—ofuknął każdy z przechodniów; czy to zarabiać nie możesz?

Opuszczał rękę i sam nie wiedział, co z sobą począć tymczasem, nim dojrzeje do żebraniny. Z zazdrością spoglądał na ślepego dziada przy kalwińskim kościele; ten wyglądał jak ogórek, odzież miał ciepłą.

— Hm, już to niektórym Bóg szczęście daje!

Tego roku spodziewał się dobrze zarobić na św. Michała. Całe miasto przeprowadzało się; tragarzów rozrywano na wszystkie strony. Zamówił go wraz z pięciu innymi jakiś lokaj i prowadził za sobą na schody wspaniałej kamienicy. Walenty przyodział się staranniej, brodę ostrzygł, żeby lepiej wyglądać, trzymał się prosto, akurat, jak przed dwudziestu laty. Kiedy lokaj oznajmił, że rzeczy dużo i w sześciu nie podołają może, Walenty pierwszy upewniał, że on jeden za trzech wystarczy, jak zechce. Weszli. W salonie meble w nieładzie, lustra pozdejmowane, na podłodze i kątach lampy i obrazy, fortepian odsunięty na środ-

dzaju instytucyi okazuje się jasno, ale jeszcze jaśniejszą jest konieczność ogromnego kapitału zakładowego dla pomyślnego jej rozwoju. Brak pieniędzy w Rosyi, a zarazem dawno odczuwana konieczność uporządkowania handlu zbożowego, spowodowały, iż przedsiębiorstwem elewatorów zajęli się kapitaliści zagraniczni. W przeszłym roku istniał projekt urządzenia spółki ziemian na akcyach, wkłady uczestników mogły być w ziarnie i w pieniądzach; projekt ten jednakże został odrzucony przez Radę państwa, bo przeczył pewnym paragrafom obecnie obowiązującego prawodawstwa o spółkach akcyjnych. Obecne towarzystwo amerykańskie pod przewodnictwem ks. Demidowa de San-Donato ma posiadać kapitału zakładowego 25 mil. Rada państwa bardzo żywo zajęła się projektem, wzwano komisyę kupców i przemysłowców petersburskich, która naturalnie wyraziła zdanie nieprzychylne. Spodziewać się wkrótce należy rozstrzygnięcia. Spółka jednakże wymaga, aby zatwierdzono tylko ogólne zasady ustawy, nie zaś szczególne paragrafy, jak to zwykle bywało dotychczas. To może stanowić wielką trudność przy uzyskaniu koncesyi rządowej.

Udziału kapitalistów amerykańskich w tem przedsiębiorstwie nie możemy nazwać objawem dla rosyjskiego przemysłu pożądanym. Prawda, że dotąd głównym objawem ekonomicznego życia Rosyi jest szybszy przyrost ludności, niż narodowych zasobów. Miejscowe środki nie wystarczają dla produkcyi i obrotów handlowych, a to pociąga za sobą udział pieniędzy zagranicznych. Trudno zastosowywać ściśle zasadę narodowości do tak kosmopolitycznego pierwiastku, jakim jest kapitał; pomimo to nie ulega zaprzeczeniu, iż pieniądz zagraniczny stanowi mniej właściwy czynnik w rozwoju ekonomicznym, niż miejscowy. Naprzód wielka ilość kapitałów cudzoziemskich, wprowadzonych do produkcyi krajowej, trzyma w wielkiej zależności kurs papierów publicznych od giełd obcych i stąd jego niestałość. Powtóre, przedsiębiorstwa, oparte przeważnie na zagranicy, najłatwiej przyjmują charakter monopolistyczny, wyzyskujący siły krajowe. Przykładów tego bardzo wiele zapisała historya ekonomiczna Rosyi w latach ostatnich; dość przypomnieć działania głównego towarzystwa kolei żelaznych rosyjskich, p. Perejry et comp., Banku berlińskiego, Bleichrödera, nakoniec ostatnie chybione próby amerykanów w osobie p. Twedla na Kaukazie. Handel zbożowy rosyjski zostaje teraz i tak prawie całkowicie w rękach cudzoziemców; przesilenie jednak w nim jest tak dotkliwe w skutkach, iż zapewne Rada państwa przyjmie proponowane warunki i nowa instytucya kredytowa już niedługo rozpocznie operacye, ograniczywszy je z początku tylko do miast portowych. Pomału, w razie powodzenia, ogarnie i inne ważniejsze rynki.

Możemy więc cieszyć się różową nadzieją uzyskania taniego kredytu na zboże, oddawna już ogłaszanego jako konieczny i jedyny ratunek dla podtrzymania upadającej własności większej. Czy jednak ten tak upragniony kredyt podźwignie ją, no, to wielkie pytanie. Wysoka stopa procentowa w Rosyi i u nas jest, co prawda, faktem rzeczywistym i zupełnie zrozumiałym wobec niskiego stanu przemysłu. Nie stanowi ona wszakże zasadniczego wyrazu organizacyi ekonomicznej, lecz wytwór współdziałania rozmaitych warunków produkcyi, między którymi najważniejszem jest niskie wynagrodzenie pracy. „Każde przedsiębiorstwo —mówi jeden z pisarzów rosyjskich — jeżeli jest normalnem, t. j. odpowiada warunkom, powinno okupić wkłady i dać stosowny dochód, a jak wysokość płacy zarobkowej w Ameryce nie przeszkadza postępowi produkcyi rolniczej, tak i wysokość stopy procentowej u nas nie mogłaby być przyczyną upadku własności większej, gdyby ta odpowiadała zasadzie ekonomicznego rozwoju kraju.“ Zboże wywożone z Rosyi pochodzi głównie z własności większej, bo na rynku wewnętrznym nie może ono współzawodniczyć z dostarczanem przez mniejszą i zbywanem za niską cenę. Handel zbożowy rosyjski od r. 1874 ogromnie się rozszerzył, ale z powiększeniem ilości wywozu wcale nie idzie w parze wzrost dochodów własności większej. Wywożą przeważnie dlatego, że muszą — dla opłaty podatków i procentów.

Zasada kapitalistyczna, głosząca o zniżeniu cen przez współzawodnictwo, mająca dotychczas znaczenie tylko w przemyśle przetwórczym, obowiązuje i w rolnym od czasu ukazania się na rynku europejskim zboża amerykańskiego. Zegarem dla cen stała się Ameryka. Są one znacznie niższe od normalnych i odpowiednich warunkom rosyjskim i naszym. Bezwzględna obniżka ich na rynku europejskim jest właśnie powodem przesilenia ekonomicznego naszej własności większej, która, jeżeli dotychczas współzawodniczy z Ameryką, to tylko wyzyskując pracę. Ceny rąk roboczych w ciągu lat ostatnich przy takim rozwoju handlu zbożowego, przeważnie nie zmieniły się, a gdzieniegdzie uległy bezwzględnej obniżce. Ten zastój płacy zarobkowej jest najlepszą wskazówką nieprawidłowości produkcyi rolniczej przez własność większą. Dalszy jednak rozwój konkurencyi na targach zagranicznych doprowadzi do minimum zyski, otrzymywane przez wytwórców. Producentami zboża wywożonego pozostaną ci tylko, którzy zadowolą się tem minimum, t. j. pominąwszy rentę i zysk przedsiębiorcy, będą się starali otrzymać tylko płacę zarobkową. Mogą zaś na to się zdobyć wyłącznie drobni i średni właściciele ziemscy. Rozszerzenie zatem i ułatwienie produkcyi ludowej, jako środka przeciwdziałającego przesileniu ekonomicznemu państwa, jest obecnie przewodnią myślą polityki wewnętrznej rządu. W tym samym duchu powinnyby działać również instytucye kredytowe.

W. Ż.

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

V.

Pokolenie obowiązane jest tak urządzić swe stosunki materyalne, aby jaknajwiększą spuściznę zostawić następcom, odpowiednio do tego wysnuwają się też i obowiązki pojedynczego człowieka.

Ludzkość jest istotą zbiorową, urządzoną przez właściwe prawa rozwoju i wykonywa według nich pracę społeczną pod naciskiem warunków zewnętrznych, którym jest fatalnie podległą. Wszelkie siły, jakiemi się posługiwać możemy, czerpiemy z tego organizmu, z ludzkości, *powinniśmy* więc je poświęcać na jej usługi.

---

ku, lokaj biegał, napędzał, krzyczał... Zabrano się do odszrubowania nog u fortepianu. Wzięli się do tego umiejętniejsi. Walenty stał na stronie, czekał, nim każą nadstawić ramiona; kręcił głową na wszystkie strony, przez chwilę spoglądał na swoją figurę, odbitą w ogromnem zwierciadle i poprowadził dłonią po aksamitnej sofie; przysiadł w fotelu, a gdy sprężyny uginały się zwolna, uśmiechnął się; z kolei próbował usiąść na krześle... W tem zawołano na niego; fortepian był gotów, nogi odszrubowane, pedał odjęty.

— Ho, walaj! — huknęli jednogłośnie i ciężki instrument znalazł się na czterech mocnych ramionach. Walenty poszedł naprzód pod klawiaturę, a że niższym był od towarzyszy, ciężar przychylił się na jego stronę; ostry kant werznął mu się w szyję odrazu; już miał zawołać na pomoc, gdy trzej inni krzyknęli:

— No, stary, co za trzech masz dźwigać, ruszaj, pokaż co umiesz! Do zapłaty staniesz razem z młodymi!

Słowa te zacięły go jak biczem; zgranatowiał, oczy krwią zaszły, ale — szedł dziarsko. Minęli drzwi jedne, drugie, i zwolna zaczęli się spuszczać po schodach. Walenty szedł od strony poręczy; czuł, jak mu nogi w kolanach zaczynają się uginać, w oczach ciemnieje, już... już nie widzi stopni... wyciąga rękę, żeby schwycić za poręcz! Ramię usunęło się nagle — upadł; fortepian stracił równowagę i stoczył się w ślad za nim po schodach. Grad przekleństw posypał się z góry i z dołu; gwar zgiełk zapanował w całym domu. Przed schodami leżał kosztowny instrument, pokrywa odpadła, połyskiwały żółte struny, z pod odłamanej deski wyglądały klawisze — boki i żebra potrzaskane. Walentemu zaś zrobił dziurę w głowie. Długa struga krwi spłynęła, nim zdołano wydostać go z pod fortepianu; oczy miał zamknięte, w twarzy ani śladu życia, oddychał jednak; położono go na stronę tymczasem. Towarzysze klęli, chociaż wiedzieli, że ich nie słyszy:

— Zuchował przecież, przechwalał się, czego lazł? O mało wszystkim karków nie połamał stary grzyb! Popamięta on ruski miesiąc. Niech spi teraz, a może nie obudzi się wcale.

Spoglądali na niego z gniewem i z litością zarazem. Przebudził się jeszcze tegoż wieczora i długo patrzał przed siebie, nie mogąc zrozumieć, gdzie się znajduje. Na głowie miał jakby drugi czerep ciężki, ogromny; rękę i ramię bezwładne — słuchał, rozszerzał powieki, ale ani nad wzrokiem, ani nad słuchem zapanować nie mógł: szumiało w uszach, a przed oczami skakały czerwone i żółte koła; próbował odetchnąć, w piersiach paliło jak świecami. Zamknął oczy i tylko rękę przesuwał z kolei po kołdrze, poduszce, kręcił w palcach prześcieradło, jakby podziwiał niezmany dotąd zbytek... Zebrał wszystkie siły i raz jeszcze otworzył oczy. Teraz widział trochę wyraźniej. Znajdował się w długiej sali; lampka zawieszona na przeciwległej ścianie oświecała szereg łóżek; na każdem czerniała postać ludzka przykryta kołdrą. Spojrzał na swych sąsiadów: jeden chrapał, jakby za gardło duszony; tego obejrzeć nie mógł, przeszkadzało mu zdruzgotane ramię i cudza czaszka, którą dźwigał na głowie; z drugiej strony ujrzał najprzód parę bosych nóg, wyglądających z pod kołdry, dalej trochę dwie długie kościste ręce, obnażone po łokcie, spoczywały bezwładnie po obu stronach korpusu; na poduszce widniała głowa, okryta resztkami siwych włosów; broda spiczasta, nos cienki, zamknięte oczy zapadły głęboko. Sąsiad nie ruszał się, nie oddychał... Spokojny jak z wosku.

Walenty przyglądał mu się z natężeniem, on go znał... widział gdzieś...

— Ach! to stary... z pod ratusza! Już miał przemówić, poruszył ustami, w tem cudza czaszka z całą siłą przycisnęła mu głowę, żar rozbiegł się po żyłach.

Zamknął oczy. Żywi i umarli pozostali gdzieś daleko; on zaś... powędrował w swoje strony! Trzy ule, nie, pięć stało obok siebie w Zakrecie nad Wilią — jak raz w tem miejscu, gdzie rzeka się zwęża, a lasy nadbrzeżne zbliżają się ku sobie. Dzień letni, słoneczny, szmer, woń, swoboda! Próbował raz jeszcze odetchnąć rozkosznem powietrzem. Zbolała pierś ciężyła jak kamień... jęknął głucho:

— Eh, pszczółki... wy moje! *Ostoja.*

Obowiązek — to wypełnianie pewnej czynności przez organ wolny (?). Należąc do istoty zbiorowej, od której otrzymujemy wszystkie pierwiastki szczęścia i godności, a która tem nie mniej potrzebuje naszego współdziałania, obowiązani jesteśmy pracować dobrowolnie dla naszych następców i zgodnie z tym obowiązkiem regulować całe nasze istnienie, umysł, uczucie, działalność.

Oto w jaki sposób pozytywizm określa, według tej zasady, należyte użycie kapitału:

1-o. *Bogactwo jest społecznem u swego źródła, winno też mieć społeczne przeznaczenie; tem nie mniej jednak musi ono stać się własnością osobistą, aby było użytem niezależnie (avec indépendance) na korzyść ludzkości.*.

2-o. *Dochód z kapitału powinien być użyty na rozwój czynników, które go wyprodukowały, i na narzędzia; część, pobierana przez właściciela na jego osobiste utrzymanie, ma być oznaczona (réglée) z największą roztropnością i oszczędnością.*

3-o. *Władanie bogactwem, będące funkcyą społeczną, winno być przekazywane według dziedziczenia socyokratycznego; każdy posiadacz kapitału może i powinien ustanowić sam sobie za następcę tego, kogo uzna za najgodniejszego spełniania po nim tej funkcyi.*

Co do pierwszej części pierwszej zasady, to ona zaprzeczaną nigdy nie była; oczywistą jest rzeczą, że nagromadzanie bogactw odbywało się dzięki współdzielczości społecznej i bez niej istniećby nie mogło w formie obecnej.

Co do drugiej części tej zasady, to stanowi ona kwestyę sporną. Przytoczę na jej poparcie ustęp z odczytu Piotra Laffitta, dzisiejszego przywódcy pozytywistów.

„Głębsza analiza jakiegokolwiek społeczeństwa usuwa wszelką wątpliwość co do prawdziwości powyższej zasady, gdyż osobiste przywłaszczanie bogactw dopełnia się wszędzie; zawsze można wykryć, że ruch cywilizacyjny dąży do rozwinięcia go, a nie do ograniczenia.

„Widzimy nawet, że władanie, napół kolektywne zpoczątku, staje się zczasem zupełnie osobistem: Indye, Niemcy, Rosya dają na to charakterystyczne dowody.

„Przywłaszczanie więc osobiste kapitału wydaje się naturalnem (*spontanée*) i nieuniknionem, prócz tego jest ono również nieodzownem, jako warunek wszelkiej godności, wszelkiej moralności i wszelkiego postępu. Postęp każdy warunkuje się niezależnością czynników; aby się mógł dokonać w jakiejkolwiek sferze zjawisk, trzeba zawsze, aby biorący inicyatywę stanął wobec ogółu współczesnych mniej lub więcej jako oponent, a nawet jako buntownik, a wskutek tego, ażeby mógł żyć i działać po za nimi i wbrew ich woli.

„Coby się stało z wielkimi utworami piękna i nauki, które stanowią sławę i szczęście ludzkości, gdyby geniusze, którym je zawdzięczamy, musieli otrzymywać swój byt i wolność usiłowań od zgody swych współczesnych? Gdyby Kopernik np. musiał żądać utrzymania i upoważnienia do pracy od jakiejś korporacyi: rady, senatu, ciała prawodawczego, czy powszechnego głosowania, ażeby zastąpić hypotezę — tak naturalną, tak zgodną z pozorami i tak powszechnie przyjętą — przez pojęcie prawdziwe (podwójny obrót ziemi), ale które wydawało się na pierwszy rzut oka niedorzeczne i którego dowodzenie zostanie na zawsze dostępnem tylko dla niewielkiej liczby umysłów! Można twierdzić stanowczo, że Izba, do którejby się zwrócił, uznałaby go za waryata.“

Toż samo w sferze postępu przemysłowego, każdy wie, z jaką trudnością wszelki nowy wynalazek przeciska się w życie, a zawsze dzięki przedsiębierczości jednostki, wzbudzającej w swem otoczeniu uczucie politowania. Wszelkie instytucye kolektywne z natury rzeczy odznaczają się brakiem energii, chwiejnością i zbytnią ostrożnością.

Słowem, pozytywizm uznaje za konieczny warunek dokładnego spełniania funkcyi społecznej niezależność czynnika, a ponieważ zachowywanie i powiększanie bogactw stanowią jeden z najważniejszych obowiązków społecznych, wymagają więc więcej niż inne niezależności osobistej i posiadania narzędzi.

Łatwą jest równie do pojęcia słuszność drugiej zasady, że w interesie dobra społecznego leży, aby bogactwo wyprodukowane użytem było głównie na utrzymanie i doskonalenie czynników. Środki utrzymania właściciela powinny być możebnie najmniejsze. Comte mniema, że przy pewnych warunkach wychowania, przekonań i organizacyi społecznej, które dadzą przewagę moralnemu przeświadczeniu i poczuciu obowiązku, każdy (bogaty równie jak i biedny) powinien wyznaczyć sam sobie wysokość utrzymania, odpowiednio do swego stanowiska i potrzeb. Pozytywizmowi wciąż chodzi o to, aby pracownicy społeczni mogli spełniać swe zadanie niezależnie i z godnością. Posiadaczy kapitałów uważa za pewny rodzaj administratorów majątku ludzkości, daje im wolność ruchu, tem niemniej jednak społeczeństwo czuwać musi, aby ów majątek nie dostał się w ręce niegodne lub niezdolne i posiadać prawo pociągnięcia sprawcy ubytku kapitału do odpowiedzialności i użycia środków bardzo surowych, nie wyłączając *wywłaszczenia*.

Co do przechodzenia majątków po śmierci właścicieli, to pozytywizm zostawia wybór samym posiadaczom, jako osobistościom najbardziej kompetentnym, mając przytem na widoku utrwalenie pewnej ciągłości i stałości w użyciu kapitałów. Każdy więc posiadacz powinien wybrać sobie spadkobiercę, którego uzna za najzdolniejszego do kierowania majątkiem na korzyść społeczeństwa.

Pozytywizm przypuszcza z góry, że najczęściej zdarzać się będą wypadki sukcesyi naturalnej, bo wogóle syn i wskutek dziedziczności i wskutek ciągłego obcowania od dzieciństwa ze sferą jakichś zajęć będzie mógł najgodniej zastąpić ojca; jednak w pojedynczych wypadkach potrzeba społeczna wymaga *wolności testowania*.

Pojąwszy dobrze istotę socyalnej teoryi Comtae' i zająwszy wzniesione przezeń stanowiska, łatwo zrozumieć można, iż był on zupełnie konsekwentnym, twierdząc, że podział na klasy społeczne jest niezbędny i pożądany. Przypomnijmy sobie tylko, że nie chodzi o wcielanie w życie żadnej abstrakcyi, równości, czy sprawiedliwości, lecz jedynie o najbardziej korzystne administrowanie majątkiem społecznym; taki zaś podział funkcyj i sposób przekazu ich bardzo się przyczynia do należytego prowadzenia gospodarki publicznej. Łatwo też pojąć, że nie są to ani kasty egipskie, ani stany średniowieczne; inny jest ich stosunek między sobą i względem społeczeństwa, inny cel, inna zasada. Prócz wspólnej świadomej pracy dla ideału będzie ich łączyło jeszcze ciągłe przechodzenie z jednej klasy do drugiej (szczególnie od posiadaczów do robotników).

Patrycyat (posiadacze: bankierzy, przemysłowcy, rolnicy), wskutek swych zajęć najbardziej uzdolniony do rządzenia, ma kierować także ogólnemi sprawami państwa. Nie mogę tu wchodzić w argumentacyę, ale zauważyć muszę, że Comte zawsze, od najpierwszych swych publicznych wystąpień, przeciwny był rządzeniu państwem przez głosy narodu. Zgodnie z całością swych poglądów, jednostkę tylko uważa za zdolną do spełniania *jakichkolwiek* funkcyj. Polityka jest sztuką i najtrudniejszą sztuką, wykonywać ją też może nie grono ludzi bez uzdolnień, ale jeden talent, mając za wskazówkę *naukę*, i pod kontrolą ogółu. Rozwój historyi politycznego życia zachodniej Europy po jego śmierci poparł zdanie wielkiego myśliciela i dziś, co dzień to większy zastęp ludzi przychodzi do tego wniosku. Kontrolę zaś, albo *władzę ogólną (pouvoir général*—patrycyat, władza świecka—*pouvoir temporel)* spełniać ma proletaryat, jako klasa mogąca mieć zupełną niezależność sądu, pod kierunkiem uczonych (*pouvoir spirituel*).

Myliłby się, ktoby sądził, że Comte dzisiejszy byt ludu roboczego uznał za rzecz normalną i nie żądał zmian.

Oto słowa Piotra Laffitta, wypowiedziane o tem przedmiocie w roku 1868:

„Klasy pracujące, istotnie wyzwolone przez wieki średnie(?), coraz to bardziej rozwijają się od pięciu stuleci. W gruncie jednak rzeczy są one przyczepione tylko do społeczeństwa, gdyż żadna zasada socyalna, powszechnie przyjęta, nie reguluje stosunków tej olbrzymiej masy do innych klas, ani też jej wewnętrznych pierwiastków między sobą. Wszelakie sposoby działalności przemysłowej, mające dziś przewagę, podlegają jedynie pobudkom własnego interesu, ledwie że ograniczonego w swych przejawach prostemi ustawami policyjnemi, lub kilkoma luźnemi zasadami miłosierdzia, które są niewystarczające i pozorne. Brak ten organizacyi w przemyśle, albo raczej ta organizacya niedostateczna i surowa może trwać i służyć dotąd, dopóki tendencye wojenne przeważają, stanowią cel i ognisko jedności społecznej; dzisiaj jednak, kiedy pierwsze miejsce zdobywać zaczyna przemysł, taki brak organizacyi rozumnej trwać nie może, nie zagrażając samemu społeczeństwu.

„Z drugiej strony niedostatki podobnego stanu rzeczy spadają na klasy pracujące i można powiedzieć, że dla nich to głównie trzeba je znieść, a znieść w ten sposób, aby nowa era prawdziwej organizacyi urzeczywistniła *istotne wcielenie proletaryatu do społeczeństwa*. Hasło to może być uważane za ściśle wyrażenie zadania ostatecznego, prawdziwie przemysłowego okresu.“

Dalej podaje Laffitte krytykę teoryi ekonomistów (zawsze zwolenników wolnego współzawodnictwa) i assocyalistów, a wreszcie zwraca uwagę, że „stan *całej* masy społecznej powinien być polepszony i dlatego należy odtrącić wszelkie złudzenia mniej lub więcej szczere, wskazujące na możność wyjścia z tej masy, jak na rozwiązanie zadania o organizacyi przemysłowej, której nie należy nigdy oddzielać od ogólnego zadania ludzkich odrodzin.“

Równie jak posiadaczów, pozytywizm uważa robotników za funkcyonaryuszów społecznych, spełniających obowiązek. Stoją oni więc wobec ludzkości na tem samem poziomie, co i posiadacze. Usługi ich są mniejsze, ale za to pewniejsze. Patrycyusz może przyczynić się bardzo do powiększenia majątku ludzkości, ale może też i wielkie szkody poczynić. Wynagrodzenia, jakie pobiera proletaryat, nie należy uważać jako płacę za oddane zasługi, bo ani pracy, ani talentu, ani poświęcenia się robotnika ocenić nie można; natomiast powinien od społeczeństwa otrzymać zaspokojenie materyalnych potrzeb, aby mógł niezależnie spełniać swój obowiązek. Robotnik więc niema być wynagradzany jako osoba, ale jako głowa rodziny. Potrzeby materyalne dadzą się zawsze określić dokładnie. Kobieta, według teoryi Comte'a, nie powinna się oddawać pracy na życie, bo starania około domu, wychowywanie dzieci, spełnianie w rodzinie roli zachowawczyni dobytku — daje jej szerokie pole do zużytkowania swych sił na korzyść społeczeństwa.

(D. c. n.).

NIEŚMIERTELNOŚĆ CZŁOWIEKA *).

Jeżeli prawo nakazuje wyłączyć się od sprawy sędziemu, którego osobiste uczucia w jakikolwiek sposób jej rozstrzygnięciem są zainteresowane, to nie mniej zdaje się pożądanem byłoby dla samej prawdy, aby piszący w niektórych razach powstrzymywali się od dotykania pewnych zagadnień a przynajmniej przystępowali do nich z wielką oględnością. Wiadomo bowiem dobrze, ile to powstało i utrzymuje się między ludźmi przesądów i sofizmatów, jedynie wskutek tego, iż silne pożądanie takiego a nie innego wyniku nastraja umysł jednostronnie, zaostrzając wrażliwość jego na pewne strony przedmiotu, przytępiając na inne. W sądach o osobach ukochanych skłonni jesteśmy powiększać ich zalety; umiemy zawsze znaleźć wymowne dowody na poparcie teoryj i urządzeń, które nam korzyść przynoszą. Często nawet wola nasza naprzód postanawia i obiera czynny kierunek, a potem dopiero świadomie wymyślamy mniej lub więcej rozumne zasady, które przyjmujemy za rzeczywiste pobudki. To też gdy p. Dębicki we wstępie swej książki oświadcza, że „kiedy ostatnia czerwień nadziei spłonęła na widnokresie jego przyszłości, kiedy miotał nim żal, gniew, tęsknota i zazdrość a pod przemocą zrodzonych stąd uczuć pierzchały dotychczasowe ułudy i pociechy, nikły drogie widma, co dotąd kochać kazały mu życie,“ „pytać się zaczął, czy *rozumnie, czy warto i trzeba żyć*, by cierpieć i szamotać się“ i wtedy to „by się uwolnić z więzów położenia, które nad wyraz wszelki *nieznośne mu było*, jął rozpatrywać zagadkę życia i zgonu“—to oczywiście wyznania takie ze strony autora bynajmniej ufności w nas nie budzą co do wyników, do jakich w badaniu swem dojdzie. W istocie bowiem cóż tu widzimy? Człowiek w pełni młodzieńczego wieku i zdrowia doznaje silnego wstrząśnienia moralnego, które na chwilę wytrąca go z toru zwykłych myśli i uczuć; lecz pełny żywotnej energii organizm szczęśliwie znosi przełom, otrząsa się z apatyi i stopniowo powraca do stanu normalnego. Ale częścią tego organizmu jest mózg, nawykły myśleć konsekwentnie i obdarzony pewną skłonnością i przyzwyczajeniami do filozofowania; poczuwa on przeto instynktownie sprzeczność między jedną ze swych czynności, polegającą na dalszem podtrzymywaniu życia, a pewnemi ogólnemi postrzeżeniami nad moralną nicością tego życia. I oto rozpoczyna pracę, aby, bądź co bądź, wyjść z tego zamętu, który rzeczywiście dla niektórych osobników jest „nad wyraz wszelki nieznośnym.“ Tu jednak łatwo zauważyć, iż w samym fakcie przystąpienia do rozcięcia tego rodzaju zagadki z życia i śmierci kryło się już w stanie utajonym, nieświadomym jej przyszłe rozumowane rozwiązanie. Boć zanim autor doszedł do uzasadnionego twierdzącego lub przeczącego wyniku, każdy z nich w owej chwili miał dla niego zupełnie równe prawdopodobieństwo: mógł więc, jednakowo ryzykując, popełnić błąd lub utrafić w prawdę, zastrzelić się albo, co byłoby w tym razie daleko konsekwentniej, skończyć śmiercią głodową bez myśli i ruchu, albo też zastanowić nad zapytaniem: czy warto żyć? Skoro zaś wybrał pracę, działanie, a więc życie, świadczy to, iż przypuszczał pozytywny wynik badania. Wynik ten tkwił już w nim organicznie, nie był zaś, ściśle biorąc, owocem badania.

Ta geneza pracy p. D., tak jak on ją nam przedstawił i jak my ją tłomaczymy, sama przez się nie dowodzi prawdy lub fałszu jego wniosków: uprzedza nas tylko niekorzystnie co do jego kompetencyi w tej sprawie, pozwala z góry przypuszczać, iż autor wobec dwóch twierdzeń za i przeciw skłonnym był stale to przyjmować, które odpowiadało jego nastrojowi, że może wybrałby wprost przeciwne, znajdując się w innem położeniu, dla którego rezultat byłby obojętnym.

Wywody, które, mimo wielu zboczeń i obfitych cytat, przewijają się w książce p. D., można streścić w następującym sylogizmie: Materya i siła są niespożyte; z niczego nie powstaje nic; co jest czemś, nie może stać się niczem. Dusza jest substancyą, bytem, wciąż jednym i niezmiennym, stale i koniecznie połączonym z ciałem, lecz co do istoty od niego odrębnym. A więc dusza jest niespożytą, wieczną — nieśmiertelną. Co do pierwszego z tych założeń, patrząc ogólnie, nic mu zarzucić nie można; warto jednak wyprowadzić z niego niektóre konsekwencye, ważne dla autora. Jeżeli to, co jest czemś, nie może stać się niczem, to i odwrotnie, co jest, nie mogło powstać z niczego. Lecz jakże z tym pewnikiem pogodzić naukę Kościoła, wedle której „Pan Bóg stworzył świat z niczego,“ naukę, z którą autor chce być w zupełnej zgodzie, której „zbyt wiele zawdzięcza, by mu obojętnem być mogło, czy to, co głosi, jest chrześciańskiem prawdziwie?“ Jeśli znów przyjmiemy, że świat, a zatem wszelki byt powstać mógł z niczego, to równie przyjąć trzeba, że może przejść w nicość, a wtedy cóż się stanie z nieśmiertelnością? Do wyboru pozostaje tylko albo jedno, albo drugie, a końca z końcem nijak związać niepodobna — położenie, które zasługuje na szczere współczucie.

Jądro jednak kwestyi tkwi, rzecz widoczna, w drugiej przesłance, orzekającej byt duszy, i autor potrzebował tego jednego punktu dowieść, aby wniosek sam przez się wypłynął. Dlatego też dziwnem się wydaje, gdy p. D. oświadcza, że „szczegółowo uzasadniać istnienia duszy nie jest na teraz jego zadaniem“ (st. 37). Duszy, która ma być pierwiastkiem substancyalnym, odrębnym, przypisuje on dwie zdolności: morfologiczną — utrzymywania czynności życia roślinnego, oraz zdolność czucia i samowiedzy. Co do pierwszej, jest to oczywiście sławetna „siła żywotna,“ o której to tylko powiedzieć można, iż, jeśli się do niej odwołują teraz jeszcze niektórzy badacze przyrody, to stosują tylko nazwę, dość dogodną w użyciu, po to, aby oznaczyć ogół niewykrytych dotąd czynników, które wraz z czynnikami znanymi współdziałają w wytwarzaniu zjawisk życiowych. Jednak pogląd na nią, jako na byt, substancyę, został obecnie zarzuconym, i to nie dlatego, iżby nieobecność takiego tworzącego pierwiastku w organizmie pozytywnie została udowodnioną, lecz poprostu dlatego, że pojęcie to, jeżeli zechcemy brać je za ostateczne tłomaczenie, jest zupełnie bezużytecznem, gdyż właściwie niczego nie tłomaczy.

Gdy nam mówią, iż organizm żyje, dlatego, że jest w nim „siła żywotna,“ czy „dusza wegetacyjna,“ to tyleż stąd się dowiadujemy, co i z objaśnienia, że lokomotywa się porusza dlatego, bo jest w niej pewna mała lokomotywka. Lecz skądże się bierze ruch w tej małej? Tak samo p. D. dla objaśnienia funkcyj człowieka wkłada weń coś nakształt małego człowieczka, który „buduje organizm“ z materyałów, jakich mu pokarm dostarcza, i organizmem tym porusza; jemu to ciało nasze zawdzięcza swą harmonię, przydatność części, celowość. W spełnianiu tej celowości, rzecz prosta, nie jest on wszechwładnym, gdyż jest „siłą warunkową.“ Jeżeli trafi się tu i owdzie jakiś robakowaty wyrostek kiszki ślepej albo brodawki piersiowe u mężczyzny, które z celowością nic wspólnego nie mają, to od czegóż są obrońcy, którzy w uznaniu tylu innych zasług żywotnego człowieka umieją mu małe niedokładności darować, zapewniając, iż zapewne były takie przeszkody, których pokonać on nie mógł (str. 59). Co słuszne, to słuszne, każdy robi, ile może. A jednakże, jeśli teorya Darwina objaśnia nietylko wypadki celowości w organizmie, lecz i odstępstwa od niej (organa cząstkowe), to czy nie należy jej przenieść nad teoryę teleologiczną, która wykłada jedynie objawy celowe i to w sposób nadprzyrodzony, na wszelkie zaś wyjątki znajduje ledwie jałową odpowiedź, że „wiedza nasza z natury swej jest i musi być fragmentarną?“

Ale niekiedy siła żywotna stawia swych wyznawców w położeniu, z którego jeszcze trudniej się wywikłać, gdy np. przyjdzie jej do głowy wcale nieprzyzwoity pomysł usadowienia się jednocześnie w dwóch rozdzielonych częściach organizmu — w członkach poćwiertowanej meduzy albo w tułowiu i w głowie zabitego psa: każdy z członków rozwija życie samoistne, albo przynajmniej przez czas pewien daje jego oznaki; tułów pod wpływem prądu galwanicznego porusza się, po zastrzyknięciu krwi oczy głowy zwracają się na głos pana.

W którejże z tych części, w głowie czy ogonie, zamieszkała we własnej osobie siła żywotna? Może w obu? Lecz w takim razie nie jest ona substancyą i nie jest niepodzielną, jaką ją mieć chcą animiści i z nimi p. D. Odpowiadają oni na fakty powyższe, iż teorya ich nie wyłącza współdziałania czynników fizyczno-chemicznych w sprawach życia, że wreszcie możliwem jest istnienie w każdej komórce własnej komórkowej duszy. Lecz przyjęcie komórkowych dusz równa się odnośnie do organizmu, z komórek złożonego, zaprzeczeniu siły żywotnej, jako samoistnej substancyi; siła ta przedstawia się już tylko jako ogólny wynik połączonego działania składowych części organizmu. Powtóre, pominąwszy ten wzgląd, z przyznaniem duszy czyli siły żywotnej każdej komórce niemożliwem staje się objaśnienie zapomocą siły żywotnej stałej *formy* organizmu, która właśnie jakoby ma wymagać istnienie tej siły: trzeba znów przypuścić drugą siłę, starszą, panującą, która reguluje odosobnione działanie dusz albo sił komórkowych, wytyka im wspólny cel i normę a sama już powoduje typową formę organizmu. Lecz co do tej drugiej, starszej, znów podnieść można też same zarzuty, co wyżej, wykazując jej niesubstancyalność i podzielność, gdy np. każdy członek meduzy rozwinie oddzielną formę typową.

Nie wiążąc losów nieśmiertelności z wątłą hypotezą „siły żywotnej,“ mógł był autor przyjąć duszę tylko jako pierwiastek, podkład zjawisk świadomości, które, jak widzieliśmy, są u niego tylko jednym z przymiotów duszy ogólnej, wegetacyjno-świadomej. Nie uczynił tak, zdaje się dlatego, iż w wypadkach utraty przytomności, w śnie głębokim, nie wiedział, coby dusza taka, ze zniknieniem istotnej jej cechy — świadomości, robić miała: każe jej więc przez ten czas być przynajmniej siłą żywotną i „budować organizm.“ Lecz wbrew temu, mógł się był oprzeć na uzasadnionym poglądzie wielu fizyologów, którzy, tym razem w zgodzie ze spirytualistami, przeczą możliwości zupełnego choćby na chwilę ustania świadomej funkcyi mózgu, jak i wszelkiej funcyi w żyjącym organizmie: w wypadkach zaś wspomnianych widzą ją tylko sprowadzoną do minimum. (D. n.).

*) Nieśmiertelność człowieka, jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa. Studyum W. M. Dębickiego. Warszawa. 1883.

Prasa peryodyczna.

Ateneum, tom III, lipiec, sierpień, wrzesień.

Druga i ostatnia część historycznego studyum p. Klemensa Kanteckiego p. t. „Na sąsiednim dworze“ wypłynęła również ze sprawozdań pruskiego posła Mardefeldta i śledzi ciekawy wyścig zabiegów polsko-saskich na dworze Anny Joannówny a, z drugiej strony, dyplomacyi niemieckiej, usiłującej przeszkodzić dynastyczno-małżeńskim zamiarom Augusta II. Ubieganie się dwu wrogich sobie mocarstw o względy potężnej monarchini posłużyło autorowi za wątek do wielkiego melodramatu, z którym łączy się inna jeszcze osnowa—głucha walka żywiołu rosyjskiego z parweniuszowską a niepokonaną partyą niemiecką. W obu starciach osoby działające są jedne i też same prawie, co pozwala je wielostronniej scharakteryzować. Pomimo, iż temat pracy do nowych nie należy, świeże szczegóły fizyognomii wszechwładnego Birona, genialnego Ostermanna, prawego, lecz zepsutego pijaństwem expolaka Jagużyńskiego, wysoce sympatycznej, imponującej cnotą i rozumem swatki, Heleny Ogińskiej, sprawiają, że z niemałem zajęciem czytać można tę na pozór nieco przydługą monografię. Obok postaci pierwszorzędnych, występują, jako sprężyny drugoplanowe, zakulisowe: zrujnowany na duchu i ciele król polski i Fryderyk Wilhelm I. Szczególną zasługą pracy jest rzucenie silnego światła na same stosunki dworu rosyjskiego, po raz pierwszy może traktowane ze spokojem i bezstronnością.

„Bitwa pod Kirchholmem“ kapitana Ferdynanda Kudelki interesującą i przystępną dla niepoświęconych w tajniki sztuki wojennej nie jest, zawiera bowiem głównie szczegóły strategiczne, czysto zewnętrzne. Dla specyalisty za to, dla badacza praktyk staropolskiej wojskowości bogaty materyał w niej zebrany z różnorodnych źródeł i objaśniony trzema typograficznemi tablicami stanowić może cenny nabytek.

Zamyka część historyczną „Pamiętnik Jana Drozdowskiego, sztabs-lekarza pułku Działyńskich,“ wygrzebany przez p. W. Przyborowskiego. Brak przeciętnej choćby inteligencyi i literackiej wartości, ujawniony zewnętrznie przez dziecięcą niemal niedołężność języka, a treściowo przez czysto kronikarski sposób opowiadania pozwala usprawiedliwić tę parafrazę notatek uczestnika powstania Kościuszkowskiego o tyle tylko, że dostarczają one pewnych rysów do historyi obyczajów, zwłaszcza szkolno-akademickich, które w pamiętniku wieloma wypadkami są ilustrowane.

Z zakresu rzeczy społecznych, oprócz zajmujących „Listów czeskich“ dra Gablera, na uwagę szczególną zasługuje dalszy ciąg pracy „O finansach rosyjskich XIX wieku.“ P. Bloch wytrwale trzyma się szerokiej metody traktowania swego przedmiotu, przez co czyni swą pracę poniekąd historyą nowoczesnych rządów rosyjskich ze stanowiska skarbowości. W Rosyi, jak w żadnem innem państwie, stan finansów jest wypadkową zbiegu zdarzeń politycznych na zewnątrz i wewnątrz oraz działań rządu w rozmaitych dziedzinach społecznego życia; przeto możliwie silne uwydatnianie tej zależności organicznej jest jedyną trafną drogą wyprowadzania nauki na przyszłość z doświadczeń przeszłości. Autor wyczerpująco rozbiera pracę Kankryna, uważając w nim jednego z najzdolniejszych finansistów i najsumienniejszych mężów stanu, zaznacza smutną rolę formalizmu i przedajności administracyi, które paraliżowały najlepsze chęci i najzbawienniejsze pomysły nietylko władzy wykonawczej, ale nawet tak bezprzykładnie energicznego i absolutnego władcy, jak cesarz Mikołaj. Jaskrawo i zajmująco odmalowawszy wojnę krymską wraz z jej błędami i skutkami dla skarbu, p. B. roztrząsa społeczno-ekonomiczne znaczenie wybitniejszych faktów i objawów okresu następnego, a więc i zniesienia pańszczyzny, budowy pierwszych dróg żelaznych, wzmożenia się wpływu prasy, pierwszego ogłoszenia budżetu i zastąpienia monopolistycznej dzierżawy systematem akcyznym w połączeniu z innemi reformami podatkowemi. O ile wymienione momenty były dobroczynne dla kasy państwa, o tyle zaraz zredukowało ich doniosłość nieopatrzne wydymanie ministeryum wojny i uległość cesarza Aleksandra II dla obrońców systematu czysto policyjnego. Czynne popieranie kolejowych przedsiębiorstw stanowi znowu zwrot ku zdrowej polityce.

P. Oskierko skrzętnie notuje każdy nowy objaw w ekonomii politycznej, mogący przyczynić się do wyjaśnienia najbardziej palącej sprawy: stosunku kapitału do pracy. Obecnie, wsparty na świeżych pracach Bacrenbacha, Johna Rae i Iwaniukowa, zebrał on, o ile to jest możebnem, w jedną szkolę t. z. „socyalistów z katedry,“ by wykazać ich dążenie wspólne oraz punkty, na których się rozchodzą. Z zestawienia wypływa, że liczba podobieństw jest bez porównania mniejszą od liczby różnic. Jednoczy wszystkich walka na dwie strony: z socyalistami rewolucyjnymi i wrogami wielkiej reformy społecznej; niejasne określanie wymagań, stawianych nauce państwowej, co wytłomaczyć się daje łatwością przeczenia obok trudności działania pozytywnego; stanowcza opozycya względem szkoły manchesterskiej i wogóle obrońców zasady wolnego współzawodnictwa; wreszcie — co dla charakterystyki jest najważniejszem — wstręt do przewrotów, wypływający z silnej wiary w możliwość pokojowych ulepszeń. Największą, bo praktyczną doniosłość posiada punkt drugi: mglistość w doradzaniu środków na nurtującą społeczeństwo chorobę, od czego rażąco odbija gwałtowne, aż nadto wyraźne, nawoływanie rządów do interwencyi. Jedni, jak Scheel i Schmoller, żądają wynagrodzenia krzywd wyrządzanych klasie roboczej i uprzystępnienia jej dóbr cywilizacyi przez sprawiedliwszy podział wyprodukowanych wartości; inni, jak Adolf Wagner, twierdzą, że prawo posiadania nie jest bezwzględnem i domaga się przekształcenia zgodnie z potrzebami i pojęciami wieku; inni, jak Samter, pragną zlania pracy i własności w jedno; wreszcie inni, jak Brentano, dopominają się nakreślenia granic minimalnej bodaj, ale rzeczywistej równości. Każda z tych trwożliwie proponowanych reform w gruncie rzeczy sprowadza się do pewnych, przesłonionych gazą niezdecydowania zmian, do rozszerzenia pola własności wspólnej kosztem prywatnej. Oczywista, że zupełne zdanie się na sumienie i rozum polityczny przedstawicieli narodu więcej zwykle dbałych o swoją skórę, mogłoby rychło wyrodzić niewolę socyalizmu państwowego i dlatego też autor pewniejszą busolę upatruje w samodzielności i uprawnionej swobodzie stowarzyszania się robotników, lepiej pojmujących swoje potrzeby.

Z działu prac literackich mamy do zanotowania dwa artykuły krytyczne dra Chmielowskiego: „O przekładach Eurypidesa“ i „Debiutach powieściopisarskich,“ a nadto dwa przyczynki: jeden do życiorysu Łukasza Górnickiego p. Rafała Loewenfelda, a drugi, w formie dziennika, do biografii Juliusza Słowackiego, p. H. B. W „Powieści kronikarza polskiego o Walterze i Helgundzie“ p. Wł. Nehring bada znane nam już z ogólnych poszukiwań Karłowicza podanie o wiarołomnej wdowie, dowodzi jej bliskiego pokrewieństwa z analogiczną legendą polską, przyczem specyalnie zastanawia się nad jej pochodzeniem, warunkami przeniesienia się na grunt nasz i przeobrażenie się pod ich wpływem w Kronice Bogufała.

Część filozoficzną reprezentuje jedno tylko, rozpoczęte przez p. Kozłowskiego, studyum o „Etyce Spencera.“ P. St. Kramsztyk zaznajamia czytelników z teoryami „Wewnętrznej budowy gazów.“

Przekład obszernej pracy krytyczno-sprawozdawczej francuskiego uczonego de Saporta o antropologicznych badaniach Mostilletów i Nadaillaca, wyjątkowo, jak objaśnia redakcya, jedynie ze względu na jej naukową doniosłość, został pomieszczonym. W rzeczy samej zasłużył on na to, albowiem pozwala poznać wszystkie dotychczasowe wiadomości o człowieku przedhistorycznym. Mostillet z swym krytykiem skłaniają się do przyjęcia teoryi monogenetycznej, czyli są wyznawcami jedności ras ludzkich, których kolebkę umieszczają aż w okolicach podbiegunowych. Epokę ukazania się człowieka na kuli ziemskiej uważają za dającą się obliczyć tylko zgruba, przypuszczalnie; mianowicie ustalonym jest przez naukę fakt, że przodkowie nasi istnieli podczas całego okresu czwartorzędowego. Chodzi więc o określenie przynajmniej czasu jego trwania wobec niemożności znalezienia danych paleoetnicznych w odleglejszych dobach. Mostillet zadania to podjął i rozstrzygnął, obliczając okres powyższy na 200,000 lat; książka zaś jego wykazuje sposoby, którymi rezultat ten osiągnął i argumenty za nim przemawiające.

N. H.

LIBERUM VETO.

Na wszystkie strony. — Pogląd na dzisiejszy stan duchowny. — Jego „złota przędza.“ — Podszepty dyablika. — Niepojęta zagadka. — Doraźna sprawiedliwość. — Co chłop ma robić. — Wytwarzający się stan nowy. — Wesele złodziejskie. — Konsylium nad chorym przywilejem. — Dwaj lekarze i trzecie postanowienie. — Turniej szachowy i wystawa piękności w Warszawie.

„Redakcye pism niech *się* na wszystkie strony wprzód dobrze obejrzą, nim o duchowieństwie, choćby pochlebnie *się* odezwą, a jeszcze bardziej zrzekną *się* im wypada zapatrywania *się* na stan duchowny ujemnie...“ Tak ostrzega X. M. z J. w swym świeżo wydanym *Poglądzie na dzisiejszy stan duchowny*, który i mnie się dostał. Doprawdy jestem niezmiernie uradowany z otrzymania tej książeczki, gdyż utwierdzo mnie ona w dawnem przekonaniu, że kto chce u nas o księżach mówić, winien „wprzódy dobrze na wszystkie strony się obejrzeć.“ Bo naprzód stanowią oni „centrum wszystkich stanów, *źródło* pomyślności,“ są „przewodnikami narodów,“ od nich zależy „*całe* szczęście społeczności.“ Dusze to wielkie, czysto, niezliczonymi promieniami wiedzy jaśniejące. „Duchowieństwo bacznem okiem śledzi postęp na *wszystkich* drogach,“ w jego łonie „*prawie nie ma* takich,“ co by czytać nie lubili, a „niektórzy nawet *zanadto* może w naukach innych się lubują.“ „Muszą *dotykać* wszystkiego, bo jakżeby mogli coś rekomendować podczas długich wieczorów *nudzącej się* społeczności do czytania?“ „Kiedy dziś w innych gałęziach wiedzy i roboty uczeni podzielili się na specyalistów i każdy w jednym kierunku pracuje, duchowny tylko musi być *specyalistą i encyklopedystą razem* i wszechstronnie się kształcić, ażeby mógł *wszystkiemu* sprostać.“ Dlatego to pewnie „lud nasz wierzyć *się zdaje* i w to, że ksiądz, to *uniwersał* umiejętności.“ „Że na polu piśmiennictwa *własnoręcznego* duchowieństwo całe gromadnie nie występuje... dowodzi to tylko, że ono nie ma ani *potrzeby*, ani

czasu popisywać się z tem, co mu wiadomo.“ Zresztą jeśli nawet który z „uniwersałów“ uczuwa litość nad ciemnotą ludzką i obleje ją potokiem mądrości w jakimś artykule, to i cóż? Z pewnością redakcya mu zwróci arcydzieło z grzeczną wymówką: „z przyczyn od nas niezależnych drukować nie możemy.“ „Taki stan rzeczy — słusznie powiada X. M. z J. — zachęcać nie może nawet tego, któryby poczuł w sobie mądrość Salomona, *bystrość* klasyków a moc Samsona.“ Jest to zaś tem dziwniejsze i smutniejsze, że duchowieństwo posiada naukę, uwalniającą je „od wszelkiej wątpliwości,“ że „w innych stanach, stosownie do postępu wiedzy odkryć i poglądów, mogą być zmiany i modyfikacye ze złego na dobre, z dobrego na lepsze...; w stanie zaś duchownym *odrazu* i *nazawsze wszystko* tak postanowionem zostało, że *żadnej zmianie* rzeczy istotne ulegać nie mogą.“

Nie będę dalej wypisywał tych przedziwnych zdań, bo jakiś na lewem ramieniu mojem siedzący dyablik ciągle mi przeszkadza i podszeptuje nieprzyzwoite uwagi. Tak np. twierdzi on, że X. M. z J. pod wyrazami „specyalista a zarazem encyklopedysta“ rozumie zapewne *preferansistę*, który zarazem umie grać dobrze w wista licytowanego i gerlasza; dalej bluźni, że zna księży, którzy nawet nie rozcinają kart *Przeglądu Katolickiego* a „bacznem okiem śledzą na wszystkich drogach tylko postęp“... dochodów; powiada również, że „moc Samsona“ nie jest wcale potrzebną do napisania dobrego artykułu, a redakcye odsyłając liche wypracowania święconym autorom, w wymówce: „z powodów od nas niezależnych“ mają na myśli, że winno temu seminaryum itd. Ale są to wszystko złośliwości piekielnego ducha. Przynajmniej X. M. z J. całym swoim *Poglądem* dowodzi słuszności głoszonych zasad. Bo istotnie, gdyby stan duchowny nie ulegał prawu bezwzględnej niezmienności, czyż w r. 1883 wychodziłyby książeczki bliźniaczo podobne do swych poprzedniczek z przed lat tysiąca? Jednej tylko zagadki pojąć nie mogę: duchowieństwo posiada wiedzę „uwalniającą od wszelkiej wątpliwości,“ społeczeństwo mu wierzy, a przecież gdy nawet pobożny człowiek spotka jakąś wątpliwość naukową, nie udaje się po radę do księdza, ale do „ateusza“ lub „materyalisty.“ To dziwne!

Pięknie by wyglądało społeczeństwo, pozbawione wpływu księży! — mówią oni sami i ich dziennikarscy organiści. Jeśli to prawda, wyglądałoby chyba przerażająco, bo dziś przy owym wpływie w swych niższych warstwach przedstawia się okropnie. Między innymi dowodami, świadczą coraz częstsze wypadki t. z. sprawiedliwości doraźnej. Jeden z takich dramatów zakończył się właśnie przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Stanęło przed nim kilku włościan, oskarżonych o zabicie złapanego na gorącym uczynku złodzieja. Zamiast ciężkiemi robotami i Syberyą, ukarano ich tylko kilkumiesięcznem więzieniem. Według mnie—bardzo słusznie. Bo i cóż ten biedny chłop ma robić? Skarżyć złodziejów do sądu? To go spalą. Nie upominać się o krzywdę? To go powoli okradną do ostatniego bydlęcia, do ostatniego korca zboża. Morderstwo jest czynem ohydnym, ale opuśćmy swoje względnie dość bezpieczne schronisko w Warszawie, osiądźmy w wiejskiej chacie, zamknijmy w stajni i oborze połowę swego majątku, którego pilnuje zaledwie głupi pies — i wtedy spróbujmy filozofować o ludzkiem traktowaniu złoczyńców. Jak wiadomo, nie są to już dziś wcale bojaźliwe koty, ale zuchwale tygrysy: naznaczają i ściągają kontrybucye, w określonych terminach, dla okazania swej zręczności, wyprowadzają konie i krowy, wracają je właścicielom za okupem, opornym podpalają zabudowania — słowem wszystko czynią w szerokim stylu Rinaldiniego. Zna ich ludność, znają władze a nawet gazety. Ci rzeczywiści panowie położenia tworzą jawny stan, który może kiedyś upomni się o osobne prawa, wypowie walkę klasom niekradnącym i stworzy nową „kwestyę“ społeczną. Co zaś dziać się musi po wsiach, jeżeli... „W tych dniach— opowiada *Kuryer Warszawski* — odbyły się na Pradze oryginalne gody weselne. Złodziej, niedawno po raz trzeci wypuszczony z więzienia, żenił się z córką złodzieja, również już raz za kradzież karanego... Drużbami i druchnami byli sami złodzieje i złodziejki, jak również cały orszak weselny składał się z licznych, *dobrze* policyi *znanych* rzezimieszków!... Szczególni weselnicy bawili się przez noc całą, aż do białego dnia; policya zaś w przyzwoitej odległości czuwała nad zabawą swoich „dobrych znajomych...“ Jak wogóle panowie złodzieje licznie zgromadzili się na gody weselne, dowodzi chociażby ten fakt charakterystyczny, iż w ciągu owej nocy nie spełniono w mieście ani jednej kradzieży! Na weselu także własność była w największem poważaniu, „nikomu z obecnych ani chustka do nosa, ani portmonetka nie zginęła.“ Cały więc nasz spokój trwa dopóty jedynie, dopóki złodzieje się bawią. Ale przecie nie żenią się oni codzień i większą część życia (nawet po strąceniu krótkiej kozy) spędzają na „zarobku.“

Nas strzeże policya, ale kto strzeże chłopa? Burek i Kasztan zadaniu nie podołają, więc ich czujności dopomaga ciężka ręka zrozpaczonego wieśniaka, która chwyta drąg i... usuwa ze świata „dobrze znanych.“ Możnaż ją za to okuć w kajdany?

Nie jedyne to zresztą w życiu naszem błędne koło. Niedawno *Nowoje Wremia* zapisało nam nową receptę, mianowicie: rozwój ekonomiczny, a zwłaszcza przemysłowy. Jak widzimy — środek niewinny. Tymczasem drugi opiekun naszego zdrowia *Sowrem. Izwiestia* wystąpiły z gwałtowną napaścią na przemysł polski, który radby ograniczyć do wykluwania zębów i obcinania paznokci, gdyż inna praca szkodzi interesowi kupców moskiewskich. No, naradźcież się szanowni lekarze i powiedzcie stanowczo, co mamy robić? Czy uprawiać niwę ekonomiczną, czy też nie? Chory przywiślanin nie może przecie poddać się systematycznej kuracyi, gdy jeden doktór radzi mu krwi upuścić, a drugi zastrzyknąć. A nuż ów chory przywiślanin powie, jak mówił: co ja tam będę słuchał szarlatanów! Jestem zdrów, będę robił to, co mi się podoba i do czego mi sił starczy, a że tam ktoś kolo mnie czasem kurzu narobi, to mniejsza. Takie postanowienie nie byłoby grzecznem, ale rozumu odmówić mu trudno.

Warszawa za przykładem miast zagranicznych urządza sobie turniej szachowy, który ma się odbyć niezawodnie, jeżeli go nie zerwą rzezimieszkowie, wypróżniwszy kieszenie zapatrzonych w szachownice graczów. Bo i to jest możliwem. Natomiast myśl przygotowania wystawy pięknych kobiet (na wzór Pesztu) spotyka nieprzezwyciężone trudności: 1) komitet nie chce się zawiązać bez udziału osoby duchownej; 2) kandydatki domagają się osobnych pawilonów dla wyznań i klas społecznych— i 3) brak takiego gmachu, któryby wszystkie chętne do pokazania się pomieścić zdołał. Szkoda, bo już najpiękniejszą upatrzyłem i dałbym jej niezawodnie głos, gdyby się na wystawie znalazła, a jestem pewien, że i osoba duchowna w komitecie gust mój by podzieliła.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Wino czerwone i konsyliarz ekonomiczny *Wieku*. — Szkodliwy wpływ kolei na szybkość komunikacyi Tomaszowa z resztą Europy. — Szekspirowski efekt i przyszli założyciele ochronek wiejskich. — Źle zrozumiany odpust.

— Jakie pan lubisz wino: czerwone, czy białe?

— Nie lubię wcale wina.

— Jakto, więc pan nic nie pijasz?!

— Owszem pijam: wodę, piwo, porter...

Taką rozmowę prowadziłem niedawno z jednym z moich znajomych, który wysoko ceniąc wino czerwone i nienawidząc białego, zapomniał o istnieniu na świecie wszelkich innych napojów.

Dyalog ten przyszedł mi na myśl teraz, kiedy czytałem na stronnicach *Wieku* „Listy ze wsi“ o małej i wielkiej własności ziemskiej. Autor ich należy do rzędu tych naszych domorosłych socyologów, którzy wszelkie formy bytu społecznego dzielą na dwie kategorye: *ulubionych* i *nienawistnych*.

Z przepaścistych głębin swojej piwnicy umysłowej wydobywa on flaszkę po flaszce smaczne kordyały, którymi częstuje czytelników zachowawczej gazety. Ostatni gąsiorek specyfiku napełniony jest słodką jak miód miłością dla posiadaczy większych i zaprawiony zlekka żółcią przeciwko „samozwańczym“ ich przeciwnikom. Po tem wszystkiem, jak zwiędła skórka pomarańczowa, pływają frazesy o „zapasikach,“ które „poczciwy kmiotek“ oszczędnością i ładem zrobić sobie może.

Po reformie „własność większa, przebywszy ciężkie przesilenie, podźwignęła się i podniosła... W tym samym czasie gospodarstwa włościańskie nic a nic się nie poprawiły“. Przyczynę takiego stanu rzeczy widzi autor listów w... szachownicy gruntów włościańskich, a jedynym, według niego, „środkiem podźwignięcia drobnych gospodarstw jest tak zwana *komasacya* gruntów.“ Wynika stąd, iż skoro swój łan ubożuchny będzie miał chłop tuż za oknem chałupy, to święci pańscy w izbie na obrazach namalowani dopomogą mu do kupienia machin i narzędzi rolniczych, z których każda przewyższa wartość jego chudoby.

Skuteczne to lekarstwo poleca autor uwadze wszystkich tych, którzy *gołemi* oczami ludu „w perspektywie“ widzą szczęście ludu „na gruzach większej własności.“ Dziecko, uczące się gramatyki francuskiej, dzieli swych małych bliźnich na dwie wielkie gromady: rozumnych t. j. takich, którzy wiedzą, że *le père* jest rodzaju męskiego, i głupich, którzy sądzą, że *la table* oznacza komodę. Konsyliarz ekonomiczny *Wieku*, stawiając pierwsze kroki w gramatyce gospodarstwa społecznego, wie dotychczas o dwóch tylko szkołach ekonomicznych: takiej, która widzi zbawienie ludzkości w Kozich Wólkach i takiej, co szczęście narodów pragnie umieścić pod cieniem Maćkowej gruszy. Co do mnie, to do żadnej z tych dwóch szkół nie należę, chociaż, oglądając Kozie Wólki „w perspektywie“ i *gołemi* oczami, nie doznaję nigdy wrażeń wojaka, liczącego niezdobyte twierdze swojej armii. Pesymizm mój jest zapewne wynikiem tego, iż nie piszę listów „Ze wsi.“ Gdybym miał jakąś *wieś*, gdybym codzień o dogodnościach takiego posiadania mógł się przekonać — napisałbym wtedy do *Prawdy* najmniej *dziewięć* listów z zapewnieniem, że *wielka własność* nie jest wcale tak niemądrą rzeczą, za jaką uchodzi.

Jeżeli chodzenie w ciężkich drewnianych trzewikach i w kajdanach jest przykrem, to stąd nie wynika jeszcze, aby wędrówki w takichże trzewikach, ale bez kajdan by-

ły ideałem podróży. Jeżeli bezsilność pojedynczego posiadacza małej schedy zwiększa się wskutek wielkiej odległości jego zagonu od chaty, to stąd nie wynika jeszcze, iżby przeniesienie pola pod okna chałupy rozwiązywało kwestyę *zasadniczo* i było „jedynym“ środkiem podźwignięcia drobnej własności.

Chciałbym bardzo znaleźć jakiś „jedyny“ środek podźwignięcia z upadku poczt małomiasteczkowych. Kiedym był studentem, z powodu demokratyzmu mojej kieszeni, miewałem częste stosunki z handlarzami starzyzny. Jeden z nich, jak się zdaje głęboki filozof, mocno mi wlazł w pamięć. Pewnego poranku np. zaczął mię on przekonywać, że zaprowadzenie tramwayów w Warszawie przyczyni się do zwiększenia nędzy biednych ludzi. Dowodów już nie pamiętam, wiem tylko, że rozwodziłem się przed nim szeroko o dobrodziejstwach cywilizacyi, w którą zresztą święcie wierzyłem. Dzisiaj zaczynam już rozumieć ten instynktowny wstręt naszej ludności do wynalazków postępu, pomiędzy którymi rzadko kiedy widzi ona coś więcej, niż narzędzie napychania kieszeni... napchanych. Dlatego też nie zgorszył mię bynajmniej „głos z Tomaszowa,“ utyskujący w pewnem piśmie na instytucyę kolei żelaznych. Za dobrych dawnych czasów, kiedy się jeździło karetką, listy z Tomaszowa do Warszawy przychodziły dość prędko; ale czasy się zmieniły: wynaleziono w Europie parę, a my zastosowawszy ją przez naśladownictwo u siebie, musimy teraz czekać na odpowiedź listowną dwa razy dłużej, niż dawniej. Szkodliwy wpływ kolei żelaznych na szybkość ruchu tylko w naszej rodzimej fizyce może znaleźć dla siebie wytłomaczenie. Niemiec dla zrozumienia podobnego zjawiska musiałby posiąść chyba pięć nowych zmysłów; polak nie znalazłszy żadnych wskazówek w kalendarzu Ungra, może śmiało uciec się do owej księgi mądrości, której treścią — cyrkularze, przepisy, instrukcye i „prawidła“ naszych małomiasteczkowych opiekunów... Z Tomaszowa np. wyjeżdża trzy razy na tydzień poczta pieniężna. Niech myśl jednak, czytelniku, aby jednoczesne odwiezienie zwykłej korespondencyi nie ubliżało godności tego, który ma w kieszeni rewolwer do obrony listów o pięciu pieczątkach. Jeżeli kupiec Szmul posyła innemu np. 13 rs. i kop. 20, to tylko te ruble i te kopiejki mają odbywać podróż: żaden list inny, chociażby najważniejszy, znajdować się obok nie może. Poczta zwyczajna wyjeżdża sobie powoli, rzemiennym dyszlem i przybywa na stacyę kolei w parę godzin po odejściu i na kilkanaście godzin przed przybyciem pociągu.

Jeżeli słońce cywilizacyi nie może u nas często przebić mgły paragrafów pocztowych i „prawideł,“ to o ileż trudniejszą staczano walkę z lodem naszej apatyi i pleśnią niedbalstwa o rzeczy poważne.

Nieraz zdarzało mi się słyszeć takie np. rozmowy:

— A o czem tam pisze?

— *Nudzi* już o pełnomocnikach gminnych...

— Nie warto... Cóż dalej?

— *Plecie* coś o ochronkach wiejskich...

— Głupstwo! a jeszcze?

— Jakiś tam kredyt...

— Cóż u licha! i ani słowa o teatrze?

— Jest, jest! jak Boga kocham... poczekaj: „Panna Knapczyńska...“

Tak jest, zwykła proza życia nas nuży. Lubujemy się w efektach scenicznych. Szczęściem mam jeden taki pod ręką — prawdziwie Szekspirowski. Oto, co przeczytałem w *Kuryerze Codziennym*. *Straszne.* Pewną wieśniaczkę zaskoczyła na polu słabość... Gdy matka leżała obezwładniona bólem, gromada głodnych psów pożarła nowonarodzone dziecię. Jakie to proste a tragiczne. Powiadam, że iście szekspirowskie. Ale może ci smutno, czytelniku? Co do mnie, to byłbym najszczęśliwszym, gdyby fakt podobny powtórzył się kilka razy w tym roku. Wstrząsające wrażenia działają jeszcze na nasze uśpione nerwy — innych nie odczuwamy. Głodne psy napewne malowanoby potem na wystawach ochronek wiejskich, których namnożyłoby się dużo, dużo. A dla czego? Czy zjedzenie nowonarodzonego dziecka świadczy rzeczywiście o czemś więcej, niż owe dziesiątkami na cmentarz zwożone trumienki, po które to błonica, to odra, to ospa swoich wysyła werbowników? Czy śmierć owego maleństwa była gorszą niż tych, co się topią w szafliku i palą w popiele rodzinnego ogniska? Bynajmniej. Kobiety wiejskie u ludów nawet cywilizowanych do ostatniej prawie chwili rozwiązania pracują w polu. Obecność głodnych psów jest tylko rzeczą przypadku. Fakt więc powyższy nie świadczy o nas gorzej, niż ciągłe, stałe oddawanie dzieci wiejskich na pastwę Molochowi. Ale fakt ten jest wysoce tragicznym, niezwykłym, a nasze zwyczajne lenistwo jest zanadto uświęcone tradycyą, abyśmy się mieli niem brzydzić. Dlatego to pragnę, aby zwierzęta nauczyły nas tego, czego pospolite klęski nie nauczą.

Pragnąłbym także, aby chłopom naszym wyjaśnił ktoś należycie znaczenie odpustów. Dotychczas bowiem nie mają oni o tem innego pojęcia, jak o spekulacyi, dającej możność grzeszenia na kredyt. Dowodem świeżo zanotowany fakt zbiorowego napadu na lasy rządowe—w Kieleckiem. Poczciwi kmiotkowie, dowiedziawszy się, iż manifest koronacyjny rozgrzesza wielu „narażonych prawu,“ umyślili za radą pokątnego pająka wyrąbać paręset sztuk drzewa z rządowego boru. Okazało się jednak, iż amnestya dla złodziei i rabusiów podpisaną już była przed tą ich operacyą, a wskutek tego wszyscy skazani dziś zostali na kary pieniężne.

Maryan Bohusz.

Grojec. Istnieje od lat kilku rozporządzenie, mocą którego przestępcy wypuszczeni z więzienia wysyłani są na mieszkanie do powiatu grójeckiego. Dzięki temu niema prawie dnia, żeby nie popełniono w tej okolicy jakiejś kradzieży lub innej zbrodni. W zeszłym tygodniu więźniowie, rekrutujący się przeważnie ze wzmiankowanej kategoryi, uważając, że wyznaczona im na utrzymanie zapomoga jest niewystarczającą, wydobyli się przemocą z aresztu, pobili stróża, zelżyli burmistrza i najspokojniej w świecie rozeszli się. Mieszkańcy Grójca i okolicy kilkakrotnie czynili starania o uwolnienie ich od tej niepożądanej kolonizacyi, ale napróżno, chociaż najwłaściwszem byłoby wysyłanie uwolnionych z więzień do miejsc urodzenia, ze względu bodajby na nich samych. Obecnie bowiem dziwić im się trudno, że wpadają w recydywę, nie mając prawie możności pracy a więc i poprawy.

Kielce. Włościanie wsi Kosomłot, upewnieni przez jakiegoś pokątnego adwokata, że manifest przebacza zabór drzewa z lasów rządowych, wybrali się w liczbie 40 i z całą energią przystąpili do wycinania sosen. Służba leśna z początku straciła głowę, dopiero jej zwierzchnikowi udało się przekonać naiwnych napastników; ale tymczasem zwalono już 300 sztuk starodrzewu. Ponieważ czyn ten spełniony został w trzy dni po wydaniu manifestu, więc łaska nie mogła być doń zastosowaną i włościanie skazani zostali na ogromną karę pieniężną. (Patrz *W perspekt.*)

— Rozboje coraz częściej zdarzają się w okolicy Kielc. Jedno z pism warszawskich posądza o nie włochów, sprowadzonych do kolei, jak gdyby nasza rodzinna gleba nie zdolną była do wyhodowania tego rodzaju okazów.

Łódź. Na powracającego dorożką z dworca kolei miejscowego sędziego pokoju napadło w ulicy sześciu ludzi uzbrojonych w noże. Sędzia i woźnica bronili się, przywołując napróżno policyę; dopiero okoliczni mieszkańcy przybiegli mu z pomocą. Napastnicy jednak ciężko pokaleczyli obu. Dopiero w pół godziny potem zjawiła się policya na miejscu wypadku. Trudno jednak winić ją za opieszałość, bo na 150,000 ludności Łodzi znajduje się zaledwie 70 strażników.

Piotrków. Zabójcy rodziny Landauów w Tomaszowie skazani zostali: Fuchs na 15 lat, Szperberg, Baumgardt i Fuchsowa 10 lat robót ciężkich, Grygor 10 lat fortecy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 31 października.

Od kilku dni kurs rosyjskiego rubla na giełdzie berlińskiej wciąż spada; nawet uspokajający artykuł *Journal de S. Petersbourg* nie wywarł najmniejszego wpływu. Przyczyną tego zjawiska mają być wypadki w Bulgaryi, które w ostatnich czasach przybrały niepokojący charakter. Książę Aleksander wstępuje w ślady Milana i coraz bardziej poddaje się austro-niemieckim wpływom. Z powodu odwołania przez rząd rosyjski generała Lessowoja i adjutanta Połzikowa, którzy otrzymali rozkaz w ciągu 48 godzin powrócić do kraju, książę udzielił dymisyę wszystkim urzędnikom rosyjskim swego orszaku. *Agencya Havas* utrzymuje, że na radzie ministeryalnej postanowiono wydalić wszystkich oficerów rosyan a znajdujących się w armii rosyjskiej bulgarów powołać do ojczyzny. Minister wojny pułkownik Riediger zmuszony został złożyć urząd i w ciągu 24 godzin opuścić Sofię. Gdyby doniesienia te potwierdziły się w całej rozciągłości, byłoby to formalne zerwanie stosunków. Jest to bardzo możliwem, bo większość wymienionych postanowień sprawdziła się; dziwnie tylko obok tego brzmi wiadomość, że za zgodą Rosyi pułkownik Kotelnikow objął zarząd ministeryum wojny.

Oświadczenia rządu austrackiego w delegacyach i polemika zażarta prasy berlińskiej z petersburską nie mogły również wywrzeć dobrego wrażenia na giełdach; nie przyczyniają się również do tego pogłoski o nowych uzbrojeniach, jak np. wiadomość o olbrzymim obstalunku torped, uczynionym przez rząd niemiecki.

Burza, zbierająca się nad ministeryum Ferry, przejdzie zapewne bez złych dlań skutków. Radykalni przygotowali wprawdzie interpelacyę z powodu wyprawy tonkińskiej, w czem popiera ich prawica a zwłaszcza bonapartyści, żądający postawienia gabinetu w stanie oskarżenia za zgwałcenie konstytucyi; ale właśnie ten nienaturalny sojusz z monarchistami uspasabia przychylnie dla rządu republikańską większość.

Nowe posiłki odpłynęły już do Anamu i wkrótce zaczną się działania wojenne; nadzieja pokojowego zakończenia zatargu z Chinami zawodzi, czekają więc francuzów w Tonkinie niemałe trudności.

Liberalny gabinet w Hiszpanii przygotowuje cały szereg projektów w duchu szczerze postępowym: reforma sądownictwa, rozszerzenie praw wyborczych, swoboda słowa i sumienia itd. stają na pierwszym planie. Ale największej wrzawy narobił dekret ministra wojny, usuwający wszystkich dowódców korpusów i dywizyj, którzy przesłużyli na tych posadach więcej, niż trzy lata. Na miejsce ich mianowani zostali generałowie, znani ze swych radykalnych przekonań; większość ich przyjmowała czynny udział w rewolucyi 1869 roku. Środek ten ma na celu zmniejszenie wpływu dowódców na żołnierzy i umożebnienie tym sposobem ciągłych pronunciamentów.

Przesilenie gabinetowe w Portugalii załatwione zostało, ale niezadowolenie zrządu nie zmniejsza się. Wprawdzie rozruchy w północnych prowincyach nie ponowiły się, panuje jednak pośród ludności głuche wrzenie. Nie są więc bezzasadnemi obawy, że dzisiejszy spokój nie będzie trwałym. Widocznie dlatego król Ludwik zamyśla

usunąć się zupełnie i abdykować na rzecz syna.

Ważne odkrycie zrobiły dzienniki wiedeńskie, objaśniając nieporozumienie kardyła Hohenlohego z kuryą. Ojciecświęty nie poprzestając na panowaniu duchowem skierować podobno zamyśla nawę św. Piotra na burzliwe fale polityki. Usiłuje on utorować przymierze francusko-rosyjskie w przeciwstawieniu do ligi austro niemiecko-włoskiej. Ktoby się tego spodziewał? A zresztą, stolica apostolska w ciągu swego istnienia zawierała ciekawsze jeszcze przymierza!

Wiedeń. Studenci wyprawili w gmachu nowego uniwersytetu hałaśliwą demonstracyę przeciw znanemu rektorowi Maassenowi.

— Sąd odrzucił wniosek unieważnienia wyroku w sprawie Olgi Hrabarowej, Naumowicza i innych.

Berlin. Deputowany Antoine został wypuszczony.

Frankfurt. W gmachu policyi nastąpił wybuch dynamitu. Sprawcami są podobno socyaliści.

Oldenburg. Major pruski Steinmann, dokuczając żołnierzom miejscowym, nazwał ich „oldenburskimi osłami.“ Fatalne słowa obleciały całe miasto, budząc w niem oburzenie. Wkrótce ukazała się na ten temat piosenka, której kilka wydań rozchwytano i która dolała oliwy do ognia. Rozpoczęły się: plakaty, zbiegowiska przed mieszkaniem nienawidzonego majora. Dotąd musiał on odbyć kilka pojedynków. Policya ledwie zdołała zabezpieczyć dom jego od napaści rozjątrzonego tłumu. Cesarz wysłał na śledztwo swego adjutanta. Mamy więc małą rewolucyjkę, i to gdzie! W Oldenburgu! To jeszcze większa niespodzianka, niż — w Zagrzebiu!

Londyn W tunelach kolei podziemnej (3o października) nastąpiły dwa wybuchy ładunków dynamitowych, podłożonych podobno przez fenian; 38 ranionych—roboty zawieszone.

CUDZE GŁOSY.

Zamienił stryjek siekierkę na kijek. Petersburska *Niediela*, koziołkując stosownie do ducha czasu w swych przekonaniach, obecnie i w kwestyi polskiej, którą traktowała. nawet po sprzeniewierzeniu się zasadom liberalnym, dosyć przedmiotowo, robi zwrot na prawo. Niejaki W. K. F. w artykule zatytułowanym: *Rozmowa z panem dc Sus Prosiewiczem*, rysuje obecny stan rzeczy na Białej Rusi i nastrój miejscowej szlachty polskiego pochodzenia. Historyczne wiadomości autora nie są zbyt dokładne. Utrzymuje on, że białoruskiej szlachty nie było prawie wcale a cały kraj znajdował się w ręku kilku magnatów. Ale „polscy magnaci, podobnie jak azyatyccy chanowie i kaukazcy książęta, musieli zginąć pod naciskiem wyższej politycznej kultury — i zginęli. Zastąpili ich magnaci rosyjscy, ale i ci, przy państwowym a nie osobistym ustroju (?) Rosyi, nie utrzymali się i ich latifundia rozpadły i dostały się do rąk szynkarzów, ekonomów, felczerów i innych sług szlacheckiego pochodzenia. Oto jak wygląda drzewo genealogiczne każdego tutejszego pana: Dziad jego Chwed'ka Porosiuk, szlachcic zaściankowy, zbogacił się, będąc klucznikiem u Sapiehy albo Czernyszewa, lub zajmując się zbytem fałszywych napoleonowskich papierków, albo, po prostu, rozbijając na trakcie.“

Dalej w tym samym tonie. Dzisiejsza szlachta nie lepsza. P. W. K. F. krytykuje surowo miejscowych obywateli, odsądzając ich od czci i wiary, a natomiast jako ideały wystawiając przybyłych nowych posiadaczów. Ci — to już prawdziwi agronomowie, a nie „hyperboliczni polscy“ lub też uczciwi pracownicy, jak starowier Kosarew, który w ciągu 10 lat z młynarza stał się właścicielem dwóch majątków. A chłop białoruski zbogacił się i nie wie już, co robić z pieniędzmi. Co za cudowna sielanka, zwłaszcza jeżeli dodamy, że dzieci drobnej szlachty, kształcone na inżenierów i doktorów w Petersburgu, zapominają, jak zaręcza autor, o swej narodowości i przyjmują „wyższą kulturę.“ Prześliczny obraz — ale niestety, od innych rosyjskich autorów dowiadujemy się także, że ci prawdziwi, opatentowani agronomowie gospodarstwem nie zajmują się wcale, a cała ich działalność obraca się w sferze „polityki wewnętrznej“ i „wzmacnianiu narodowego żywiołu;“ od tychże rosyjskich autorów wiemy również, jaką to „uczciwą“ drogą „kułaki“ Kosarewy dochodzą do majątku a chłopów białoruskich wynędzniałych, obdartych spotykamy, chociażby nawet w Warszawie, tysiącami, przy budowie fortów, kolei itp. Doprawdy, jakiż to głupi naród: na miejscu w dostatki opływa — i idzie o chłodzie i głodzie setki mil szukać zarobku. Dlatego chyba tylko, że ci inteligentni jego bracia, którzy zmienili „niższą kulturę“ na wyższą, nie pomyśleli wcale. jakby go oświecić i nie wydali dlań dotąd ani jednej książeczki, nie w niższym lub wyższym, ale w zrozumiałym dlań białoruskim języku.

Odwrotna strona cywilizacyi. Niejaki Piotr Lotti ogłosił w *Figaro* z wyprawy tonkińskiej opis zdobycia miasta Hue. Ten straszny obraz mordu i pożogi pokazuje, do jakiego zdziczenia dojść może człowiek w tępieniu swych bliźnych. Zapewne, wojna zawsze jest barbarzyństwem, ale pewne zwyczaje i prawa łagodzić mogą do pewnego stopnia jej srogość. Z barbarzyńcami jednak oświecone ludy europejskie nie robią sobie ceremonii i wtedy wychodzą na jaw wszystkie wstrętne objawy ludzkiej natury.

„Ci, którym bagnet przeszywał piersi, konali z piekielnym wrzaskiem bólu, rozlewając krew po piasku. Jednemu z nich majtek wepchnął w usta bagnet tak, że słychać było zgrzyt zębów, o które ślizgało się żelazo. Biedak zacisnął kurczowo zęby, aby niedopuście bagnetu do gardła. Ale majtek był silny, zęby złamały się, a bagnet przeszył nieszczęśliwego nawskróś. Koniec ostrza wyszedł karkiem i zarył się w piasku... Mordowano prawie z uciechą, jakby ten krzyk, ten zamęt, ta krew były nektarem rozkosznych upojeń...“

A nieco dalej:

„Stracono wszelką trzeźwość sądu, wszystkie uczucia zbiegły się w jedną — rozkosz mordowania... Uciekający przesuwać się musieli pod działami „Atalanty.“ Widziano ich, jak na poły upieczeni, zbierali się w gromadki u wejścia do płonących wiosek, jak wahali się przez chwilę, jak podnosili potem w górę okrycia, aby módz prędzej uchodzić, jak okrywali sobie głowy deskami lub tarczami, plecionemi z sitowiu — dziecinna obrona, wystarczająca od deszczu! Tu się rozpoczyna wielka rzeź... Dano dwie salwy i rozkoszą dla szatanów było patrzeć, jak deszcz kul podwakroć spadł na te tłumy.“

Po skończonej rzezi zaczął się rabunek. Majtkowie zabierali wszystko, co się dało i z najlepszą miną drwili, bawiąc się warkoczami i parasolami zabitych.

Poetyczny sprawozdawca *Kuryera Warszawskiego*, przytaczając powyższy opis, zdobył się tylko na uwagę, że „ten straszny widok porywa malowniczością swej grozy.“ Bodaj to być kierownikiem pisma poświęconego — estetyce!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wezwanie. „Zara (Dalmacya) d. 10 października. Od lat kilkunastu pracuję nad obrobieniem bibliografii powszechnej do prawa międzynarodowego prywatnego; z tego powodu wszedłem w stosunki ze specyalistami w najrozmaitszych okolicach, którzy dostarczają mi wskazówek informacyjnych. Dotąd zebrałem przeszło 4,000 kartek, pomiędzy któremi figurują nazwiska polskich prawników, nie wyczerpują one jednak całości. W tym celu za pośrednictwem waszego pisma udaję się do miejscowych prawników z prośbą, aby odpowiednim materyałem bibliograficznym z prac swoich zechcieli mnie zasilić. Do zbioru kwalifikują się monografie cywilistyczne w zakresie prawa materyalnego i formalnego. Z poważaniem *Dr. Włodzimierz Pappafava*.“

Odczyty Towarzystwo Osad rolnych urządza w Resursie; udział w nich przyjmą między innymi Spasowicz i Konopnicka; Towarzystwo Dobroczynności także zamierza dać szereg prelekcyj na rzecz czytelni bezpłatnych; redakcya „Pamiętnika fizyograficznego“ zapowiada wykłady w Resursie kupieckiej dla poprawienia finansowego stanu wydawnictwa; wreszcie Towarzystwo Wioślarskie w pałacu Brühlowskim przygotowuje również seryę odczytów. Prelegentami będą: pp. adwokat Pepłowski, Maryan Gawalewicz, Józef Sporny inżenier, Aleks. Głowacki (B. Prus), Milicer, dr. Karol Benni i inni.

Rocznik prac naukowych wyjdzie w roku bieżącym Ponieważ zaś obejmie również kronikę prac studenckich, jego redakcya zatem prosi studentów o odpowiednie doniesienia, autorów zaś, którzyby pragnęli swe artykuły w *Roczniku* zamieścić, o przesłanie ich do *Gazety Polskiej* (Warecka, 6).

Pamiątka odsieczy wiedeńskiej wywołała w piśmiennictwie wszystkich krajów ważne prace historyczne. Naprzód zwraca uwagę obszerne, wieloma portretami i mapami opatrzone dzieło K. Teufla *Die Türken vor Wien* (Praga i Lipsk), oraz F. Kluczyckiego *König Johann III im Jahre 1683* (Wiedeń). Autorem ostatniej, naturalnie odmiennie tłomaczącej nasz udział w odparciu turków, jest polak. Dyrektor głównego archiwum saskiego w Dreznie dr. Hassel, oraz major sztabu generalnego saskiego hr. Vitzthum v. Eckstädt, wydali dzieło *Zur geschichte des Türken Krieges im Jahre 1863*, w którem zajmują się głównie udziałem Jerzego III, nie zmniejszając jednak zasług Sobieskiego.

Mianowania. Prezesem Prokuratoryi w Warszawie mianowany został dotychczasowy towarzysz prokuratora Izby Sądowej, Hermanowicz, znakomity cywilista i zacny człowiek.

Sądy. Liczba sędziów pokoju w Warszawie ma być zwiększoną o czterech; oprócz tego utworzono jeszcze dwie posady pomocników sekretarzy zjazdu. Kosztować to będzie kasę miejską przeszło 20,000 rs. Nadarzała się więc dobra sposobność do odpowiednich starań o mianowenie honorowych sędziów; magistrat jednak nie skorzystał z niej.

Biblioteka skandaliczna. Podczas gdy cenne zbiory, mające niezaprzeczoną naukową wartość, napróżno oczekują nabywcy lub sprzedawane są za bezcen, biblioteka tłustych utworów znalazła amatora. Jest nim obywatel z Wołynia, znawca takich rzeczy, posiadający już własne skarby. Zapłacił on za cały zbiór 8000 rs. i usilnie stara się go dopełnić.

Akademia krakowska. Dnia 5 go października pod przewodnictwem dra Estrejchera odbyło się zwyczajne posiedzenie wydziału filologicznego. Dr. J. Hanusz czytał o języku i treści rękopismu staropolskiego z pierwszej połowy XVI wieku, znajdującego się w bibliotece uniwersyteckiej w Monachium. Jest to książka do nabożeństwa Zygmunta I pod tytułem: *Szczyt duszny*. Zawiera ona między innemi 10 hymnów i pieśni rymowanych do N. P. Maryi. W dalszym ciągu dr. Hanusz mówił o książce do nabożeństwa królowej Maryi Kazimieryi, znajdującej się w bibliotece król. monachijskiej. Książeczkę tę przywiozła z sobą do Monachium księżniczka Teresa Kunegunda, córka Jana III, która w r. 1694 wyszła za Maksa Emmanuela, elektora bawarskiego. W końcu prof. K. Morawski złożył pracę swą i wyłożył jej treść p. t. „Andrzej Petrycy Nidecki, jego pisma i życie.“

Bibliografia polska. Piotr Jaxa-Bykowski *Lepsze dobre imię, niżli maście drogie*. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Maryan Gawalewicz *Komedye jednoaktowe i monologi*. Warszawa. Gebethner i Wolff.

— E. Bulwer *Ostatnie dni Pompei*, powieść przerobiona dla użytku młodzieży przez M. Gawalewicza, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Jerzy Myriel *Syn przemytnika*, powieść 2 tomy. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— J. I. Kraszewski *Klasztor*, opowiadanie, Warszawa. Gebethner i Wolff.

— *Gawędy w listach Jordana do pana Jana* przez autora *Wędrówek delegata*. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Ks. St. Mazurek *Kto był Karol hr. Brzostowski?* Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Teofila Radońska *Gramatyka polska dla uczącej się młodzieży*. Poznań, J. K. Żupański.

Ilość cukru, jaką w ciągu bieżącej kampanii zamierzają wyrobić w Cesarstwie i u nas, przewyższać ma o 3,000.000 pudów produkcyę zeszłego roku. Powinna więc nastąpić znaczna obniżka ceny, tymczasem nie słychać o tem.

Prasa rosyjska. Rosya uchodzi za kraj wyłącznie rolniczy; dziwnym więc nieco jest fakt, że teraz dopiero zacznie wychodzić pierwsze pismo prywatne, poświęcone rolnictwu. Dotychczasowe wydawnictwa przedsiębrane były na koszt rządu lub otrzymywały znaczne zapomogi.

Teatr. Pierwszy raz dopiero Gluck ukazał się na warszawskiej scenie; wystawiono jego komiczną operę *Oszukany Kady*.

Mózg Turgeniewa ważył 2012 gramów, należałby więc do najcięższych, jeżeli badania dopełniono ściśle.

Wykopaliska. W powiecie hrubieszowskim, na gruntach wsi Czermno, odkryto stare cmentarzysko słowiańskie.

Zmarli. Piotr Falkenhagen Zaleski (ur. 1809) w Owruczu na Wołyniu. Główną swą działalność rozwijał w pismach angielskich, po polsku napisał kilka rozpraw ekonomicznych.

— Piotr Riess, znakomity fizyk niemiecki—w Berlinie. Był to pierwszy żyd, przyjęty jako członek zwyczajny do berlińskiej Akademii Umiejętności. Minister oświaty Eichhorn tak był przerażony tym wypadkiem, że nie śmiał pojechać z przedstawieniem do króla (Fryderyka Wilhelma IV), który zatwierdził wybór chętnie, a nawet rzekł do Humboldta: „nie przypuszczam, ażeby brat pański popełnił takie głupstwo i zastrzegł w statutach Akademii, że żyd nie może w niej zasiadać.“ Mniej odważnym był Fryderyk Wielki, który odmówił przyjęcia Mojżesza Mendelsohna dlatego, żeby jego towarzystwo nie obraziło cesarzowej Katarzyny II, która była akademiczką.

Przedsiębiorca literacki, a obecnie wydawca i redaktor *Kraju* p. Erazm Piltz, uczuwszy nakoniec potrzebę obrony swojego honoru, zażądał od nas cofnięcia udzielonego mu pod inicyałami (w *Odpow. Red.* № 41) przypomnienia przeszłości. Żądaniu temu odmówiliśmy, ponieważ zaś p. Erazm Piltz oświadcza w *Kraju*, że pretensyi swojej dochodzić będzie drogą sądową, przed rozstrzygnięciem więc procesu wstrzymujemy się z rozbiorem cywilnej odwagi p. Piltza oraz ujawnieniem faktów, które nas upoważniły zarówno do użycia ostrego wyrazu, jak i do odmowy cofnięcia zarzutu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Z. (dok.) Z kolei objaśnimy kwestyę, która p. S. wydała się najniezrozumialszą.

Iloczyny: dwóch i trzech czynników nazywamy *dwu-* i *trójwymiarowym* dla tego, że istnieją zawsze prostokąty: dwu- i trójwymiarowy, których krawędzie są proporcyonalne do wartości liczebnych tych czynników. Jeżeli zatem iloczyn *n* czynników nazywamy także *n* wymiarowym, to przyjmujemy tem samem istnienie (umysłowe) prostokąta *n* wymiarowego, o krawędziach proporcyonalnych do wartości liczebnych tych *n* czynników. P. S. jednak zaprzecza istnienia czwartego wymiaru rozciągłościowego i przyjmuje współcześnie gęstość za wymiar czwarty ciała materyalnego. Wychodzi to na to samo, jakby zaprzeczył np. istnienia drugiego wymiaru rozciągłościowego a przyjął jednocześnie czas za drugi wymiar drogi, której wymiarem pierwszym jest prędkość. Otóż wówczas, okażemy to, drogi, jako czegoś dwuwymiarowego, nie możnaby mierzyć.

Bo, jeżelibyśmy dopuścili, że mierzenie drogi, jako czegoś dwuwymiarowego, jest możliwe, to iloczynowi zwartości liczebnych prędkości i czasu odpowiadałby prostokąt dwuwymiarowy, co jest przeciwne założeniu, gdyż z powodu odrzucenia drugiego wymiaru rozciągłowego, prostokąt jest niemożliwy. Droga zatem jest w takim razie tylko jednowymiarową i może się mierzyć albo jednostkami prędkości, albo jednostkami czasu, stosownie do tego, czy prędkość przyjmiemy za liczbę mianowaną a czas za oderwaną, czy też odwrotnie. Stąd wynika, że liczba czynników decyduje tylko o maximum wysokości rzędu wymiaru, bo droga, pomimo że jest iloczynem dwóch czynników, może być jednolub dwuwymiarową, odpowiednio do tego, czyśmy uprzednio przyjęli za podstawę jeden lub dwa wymiary rozciągłościowe, t. j. *jednorodne*.

Że wreszcie sam pomysł uważania gęstości, jako takiej, za wymiar czwarty nie należy do szczęśliwych, okazać to łatwo, wychodząc nawet z tego samego punktu widzenia, co autor — t. j. ze stanowiska fizyki. Dość tylko wziąść rzeczy nieco głębiej, niż on to uczynił. Równanie bowiem, którego obie strony są iloczynami gęstości przez objętość, wyrażać może: albo że pewna liczba objętości ciała jednego jest równa innej liczbie objętości drugiego, albo że pewna liczba gęstości jednego jest równa innej liczbie gęstości drugiego. W znaczeniu pierwszem równanie to na myśl o wymiarze czwartym nie naprowadza oczywiście; w znaczeniu zaś drugiem wykazuje tylko, że gęstości ciał obydwóch są różne, czyli że różne są, w każdem z nich, odległości wzajemne cząsteczek fizycznych lub atomów, z których się składają. Gdzież więc tu ten wymiar czwarty ciała materyalnego?...

Co innego jest wszakże ze stanowiska gieometryi, tj. gdy przyjmiemy rozciągłość wielowymiarową, jako coś w umyśle istniejącego już dawniej. Wówczas iloczynowi wartości liczebnych: gęstości i trzech wymiarów linijnych, odpowiadać tam będzie prostokąt czterowymiarowy, posiadający krawędzie do tych wartości proporcyonalne. Masę przeto ciała materyalnego uważać także można za czterowymiarową, w tem samem, rozumie się znaczeniu, jak drogę uważamy za dwuwymiarową, to jest gieometrycznie, ale nie fizycznie.

Wł. Gosiewski.

Pani K. Szcz. w Warszawie. Czekamy osobnej odbitki.

P. Kaz. Br. w Warszawie. Nie będziemy tego wrzodu nacinać; niech on odrazu pęknie. Do czasu jesteśmy bardzo cierpliwi.

P. M. Ł. w Samarze. Pretensya pańska jest całkiem słuszną, uwagi zawarte w ułamku korespondencyi często bardzo trafne, ale czyż możemy drukować dokończenie artykułu, którego początek był umieszczony gdzieindziej? Czytelnicy nasi są zupełnie inni, a szczupłe ramy pisma na taki zbytek nie pozwalają.

X. Y. Po co pytanie? Przysłać do redakcyi utwór zawsze każdemu wolno. Przeczytamy i odpowiemy.

P. S. O. Pytasz Pan, co znaczą takie doniesienia w wzmiankowanym dzienniku, jak np. to, że „kwas siarczany zapalił się na ulicy wielką strugą, grożąc przechodniom?“ Albo my wiemy. Natomiast, zgodnie z wolą pańską, ogłaszamy, że apteki, które płacą za funt proszku perskiego 60 do 65 kop., chętnie nabywałyby go z apteki dąbrowieckiej po 60 z rabatem, chociaż ta cena wydaje się owemu pismu tak zdumiewającą.

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Studenci I kursu prawa rs. 7 kop. 60.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава. 21 Октября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.